

A19-A12

# stańczyk

PISMO KONSERWATYSTÓW I LIBERAŁÓW

1/1986



Kraków - Poznań - Warszawa - Wrocław

Ponieważ ośrodek krakowski  
- mamy nadzieję chwilowo -  
nie nadesłał materiałów,  
w pierwszym numerze  
zamieszczamy przedruki  
z pism krakowskich.



## JAK BYĆ KATOLIKIEM I KONSERWATYSTĄ

ROZMOWA Z DENISEM J. O'KEEFE

Poniższa rozmowa ukazała się pierwotnie w krakowskim niezależnym piśmie *Arka* (nr 10/1985).

**Arka:** Określa Pan siebie jako konserwatystę i jako katolika. O ile chodzi o termin drugi, nie wywołuje on specjalnych sporów. Natomiast słowo „konserwatysta” jest od kilku wieków notorycznie nadużywane dla sprzecznych celów i wartości. Jakie znaczenie przypisuje Pan temu pojęciu?

Denis J. O'Keefe: Wydaje mi się, że istnieje dwie główne odmiany konserwatyzmu, i obie cieszą się moją sympatią. Mój konserwatyzm związany jest jednak przede wszystkim z odmianą drugą. Scharakteryzuje najpierw oba warianty myślenia konserwatywnego, zastrzegając się, że nie opisują one wyczerpująco tego pojęcia ani nie stanowią jedynego możliwego podziału. W sensie pierwszym konserwatysta jest ten, kto kocha przeszłość, swoją kulturę, tradycję, na przykład

Denis O'Keefe jest profesorem socjologii na Politechnice Londyńskiej i współpracownikiem pism *Encounter* i *The Salisbury Review*.

monarchię czy religię chrześcijańską, czy dzieje swojego narodu. Oznacza to niechęć do zmiany czegokolwiek tylko dla samej zmiany. Zakłada się zatem, że istnieją pewne instytucje i mechanizmy posiadające taki stopień społecznej wiarygodności i będące na tyle sprawdzone w społecznej historii, jak na przykład rodzina, Kościół, monarchia, że podważanie ich podstaw musi mieć dla człowieka skutki katastrofalne. Tylko głupcy i szaleńcy mogą się na takie przedsięwzięcie zdecydować. Wśród nich najliczniejszą grupę stanowią marksiści oraz niektóre orientacje liberalistów. Stwarzają oni takie wrażenie jakby woleli, by rodzina nie funkcjonowała normalnie, jakby woleli, by ludzi cechowała rozwiązłość obyczajowa i by szerzył się homoseksualizm, itd. W tym sensie jestem więc konserwatysta. Ale większe znaczenie przykłada innemu rozumieniu tego słowa.



rozumieniu, które nie opisuje tylko pewnego temperamentu, ale odnosi się do rozbudowanej teorii przemian społecznych i politycznych. Mam tu na myśli swoistą filozofię ekonomiczną, która funkcjonuje pod szyldem konserwatyzmu, a której najbardziej znanymi wyrazicielami w życiu politycznym są prezydent Reagan i premier Wielkiej Brytanii Margaret Thatcher. Tak jak oni uważam, że gospodarka rynkowa jest optymalną organizacją ekonomiczną, i ja się z tym zgadzam, że używanie słowa „konserwatyzm” w takim sensie jest niewłaściwe. Stosujemy je jednak dlatego, że od czasu *New Deal'u* w Ameryce termin „liberalizm”, który w dziewiętnastym wieku opisywał właśnie filozofię wolnej gospodarki, zmienił znaczenie i zaczął coraz powszechniej być używany dla określenia państwa opiekuńczego. Nazwa „konserwatyzm” jest dlatego mało stosowna, że system wolnej produkcji dóbr i usług jest zjawiskiem relatywnie nowym, a nawet w znacznym stopniu rewolucyjnym. Chodzi o to, że kapitalizm, czyli porządek wolnej gospodarki, oparty na decentralizacji decyzji, szerokiej dyfuzji własności prywatnej i akumulacji ludzkiego kapitału w podziale pracy, wywodzi się i jednocześnie utrwała zinternalizowany system społecznej kontroli; ludzie internalizują, przyjmują za swój własny, swoisty kod rynkowy, czyli sposób kupowania, sprzedawania, oszczędzania, inwestowania. Właśnie dzięki tej internalizacji tworzy się niezwykła spójność porządku rynkowego. Wielu socjalistów uważa oczywiście, że ogromny postęp gospodarczy krajów zachodnich w ciągu ostatnich stuleci spowodowany jest polityką rządów tych krajów. Twierdzenie takie jest jawnie fałszywe. Wszystkie inne niekapitalistyczne systemy, takie jak niewolnictwo, feudalizm czy współczesny socjalizm opierają się na eksternalizacji systemu decyzji, a więc na mechanizmach dostarczania wskazówek i podejmowaniu decyzji, które nie pochodzą od samych uczestników działalności gospodarczej, ale od zewnętrznego autorytetu. Wydaje się zatem, że jest coś takiego w systemie wolnej gospodarki, co bardzo odpowiada naturze człowieka, co czyni go bardziej twórczym niż w innym otoczeniu, co tłumaczy kreatywność kapitalistyczną i jej brak w innych systemach. Można sobie tylko wyobrazić jak świat wyglądałby gdyby Hitler, Stalin i Mao Tse-tung wykorzystali ogromny kapitał ludzi w ich krajach dla nieskrępowanej ludzkiej działalności, a nie dla planowego niszczenia własnych narodów.

„A”: Istnieje popularne przekonanie, że wbrew temu co Pan mówi, kapitalizm jest własnym grabieżem, że nie tylko nie jest on zdolny do stworzenia spójności społecznej, ale że na tej spójności żeruje i skutecznie ją niszczy. Twierdzi się, że kapitalizm trwa tak długo, jak długo istnieje pewna stabilizacja społeczna, ale z konieczności wprowadza do niej silne tendencje dezintegracyjne. Dzieje się tak dlatego, że wolny rynek nie zawiera żadnych społecznie integrujących treści moralnych, ale jest moralnie pustą. Wzbudza w ludziach instynkty egoistyczne, które z czasem muszą się obrócić przeciw społecznej harmonii. Warto zauważyć jest to, że ów destrukcyjny amoralizm rynkowy jest podkreślany nie tylko przez zwolenników socjalizmu, lecz również przez sympatyzujących z kapitalizmem współczesnych neokonser-

watystów (np. I. Kristoll). Jaka jest Pana odpowiedź na ten zarzut?

D.O'K.: Myślę, że raczej mają neokonserwatyści, gdy mówią, iż człowiek jest z natury istotą grzeszną. Ale niezwykła cecha kapitalizmu jest właśnie to, że dzięki decentralizacji procesu decyzyjnego i mnogości ludzkich działań i celów, jaka się tworzy w wyniku tego rozproszenia decyzji, pożytecznemu skanalizowaniu ulega energia, która w przeciwnym przypadku mogłaby przybrać najbardziej groteskowe formy. Wyobraźmy sobie człowieka obdarzonego niezwykłym talentem robienia pieniędzy i wielkim pragnieniem ich zdobycia. W kapitalizmie najbardziej oczywistym sposobem zaspokojenia tej żądzy jest stworzenie prywatnego przedsiębiorstwa. Najważniejsze w tym fakcie jest to, że nie da się zadośćuczynić temu, grzeszemu przecież w opinii wielu, pragnieniu, bez niezamierzonego przyniesienia korzyści swoim bliźnim — dania pracy, zarobku, produktu do kupienia, etc. W systemach niekapitalistycznych te brutalne ścieżki ludzkie aspiracje znajdują upust w dużo bardziej niebezpiecznych dla człowieka działaniach, najczęściej uwewnętrzniając się w sferze politycznej. W gospodarkach Trzeciego Świata, a także częściowo w gospodarkach socjalistycznych jest bardzo trudno zdobyć duży majątek nie angażując się w aparat polityczny, podczas gdy nawet najbardziej chciwy przedsiębiorca w kapitalizmie nigdy nie staje wobec takiej konieczności. Jeżeli ktoś jest naprawdę niegodziwy, to najprawdopodobniej w systemie kapitalistycznym zaangażuje się w nielegalną gospodarkę przestępczą typu mafijnego. W innych systemach natomiast takich ludzi znajdujemy w rządzie bądź w służbie bezpieczeństwa. Jakkolwiek więc raczej mają neokonserwatyści mówiąc, że człowiek jest grzeszny, myła się, gdy wyciągają stad wniosek, że kapitalizm zwiększa, a nie zmniejsza praktyczne skutki owej grzeszności. Dlatego wydaje mi się, że stwarza to wielką szansę dla przyszłego rozwoju kapitalizmu. Żaden z niekapitalistycznych systemów czy to istniejących w przeszłości, czy też aktualnych, nie dysponuje tego typu umiejętnością.

„A”: Kapitalizm nazywa się często systemem wolności. Od czasu opublikowania przez Hayekę *Drugi do zniewolenia* znacząca popularność zdobył pogląd, że pierwszym krokiem na owej drodze jest poddanie własności prywatnej planowi centralnemu, a z czasem wyeliminowanie jej. Wielu wyciągnęło stad wnioski, że aby zdobyć wolność trzeba postępować dokładnie odwrotnie, to znaczy, że rozszerzanie własności prywatnej jest początkiem drogi do wolności. Tym należy, jak się zdaje, tłumaczyć rosnące zainteresowanie ideami liberalnymi w takim kraju jak Polska, gdzie programowi wolnorynkowemu przypisuje się moc stopniowego wyłaczania z obiegu struktur komunistycznych, a w konsekwencji stopniowego budowania systemu wolności. Czy sądzi Pan, że takie nadzieje są uzasadnione? Czy wolny rynek nie ma przypadkiem tego do siebie, że może bardzo łatwo współwystępować z brutalną dyktaturą polityczną, i że tym samym nie stanowi on lekarstwa na komunizm?

D.O'K.: Jest to jedno z najważniejszych pytań, jakie obecnie stoja przed ludzkością. Twierdząc, że jest ono ważniejsze od problemu wojny nuklearnej, gdyż w wypadku negatywnej odpowiedzi



wojna nuklearna stanie się faktem. Przede wszystkim muszę stwierdzić, iż uważam, że to wolność warunkuje kapitalizm, a nie odwrotnie. Nie ma w tym przypadku, że angielska wolna gospodarka przemysłowa narodziła się w kraju, który już dysponował intelektualną i polityczną wolnością. Nie było również przypadkiem, że powstała ona w kraju chrześcijańskim, tam, gdzie pojęcie indywidualnej duszy stało się jedną z podstawowych kategorii moralno-religijnych. Błąd ludzi takich jak Milton Friedman polega na odwróceniu zależności. Społeczeństwa zachodnie nie są wolne dlatego, że są kapitalistyczne, ale są kapitalistyczne dlatego, że są wolne. Wolność wyraża się w tym, że możemy sprzedawać swoją pracę zgodnie z naszymi życzeniami, kupić własny dom, wybrać takie dobra, jakie nam odpowiadają, posłać dziecko do takiej szkoły, jaka się nam podoba i zapłacić za jego wykształcenie jeżeli będziemy uważać to za celowe. Indywidualna możliwość wyboru w procesie kształcenia własnego dziecka jest jednym z nienaruszalnych praw ludzkich, a jej brak w systemie komunistycznym jest już sam wystarczający podstawą potępienia marksizmu-leninizmu. Twierdząc, że kultura wolnościowa stanowi glebę, na której może wyrosnąć kapitalizm, równocześnie muszę przyznać, że brutalne polityczne dyktatury jak Wybrzeże Kości Słoniowej w Afryce, czy Singapur, Tajwan i Korea Południowa w Azji, łączące kwitnącą ekonomię rynkową z systemem politycznej represji, są niemoralne, aczkolwiek wydają się znacznie lepsze od ustroju komunistycznego. Ich większa akceptowalność zasadzałaby się na tym, iż na dłuższą metę głębokie zakotwiczenie kapitalizmu w społecznym organizmie doprowadzi do zliberalizowania struktur politycznych. Proces taki możemy obserwować obecnie w takim kraju jak Singapur. Na dobra sprawę można go było również zaobserwować w Anglii na początku dziewiętnastego stulecia, kiedy to było dość powszechnym skazywaniem ludzi na śmierć bądź na deportację do Australii za przestępstwa niezwykle blache, jak kradzież chleba. Instytucje społecznej kontroli nie były jeszcze wystarczająco okrzepłe, a więc można by nawet przyjąć, że marksistowski schemat walki klasowej między bogatymi a biednymi miał wtedy pewne uzasadnienie. Optymistyczne jest to, iż niezwykle szybko wykształcił się efektywny system społecznej kontroli, typowy dla kapitalizmu, nie dawający wolności, a jednocześnie zapobiegający społecznej dysharmonii. Wziął się on z rozszerzenia własności prywatnej oraz ze wzrostu podziału pracy. Ważne w tym miejscu jest jedno zastrzeżenie czy raczej modyfikacja tego, co było powiedziane w pytaniu. Zwrócił mi na to uwagę profesor Mark Blaug. Chodzi o to, że własność prywatna nie jest pierwszorzędnym, lecz jedynie drugorzędnym warunkiem wolności. Istota ekonomicznej wolności jest bowiem wolność ludzkiego kapitału, czyli swoboda zatrudnienia. Blaug twierdzi wręcz, że reżymy komunistyczne w pierwszym rzędzie atakują właśnie wolność w strukturze zatrudnienia. Gdy założymy, że wolność polega przede wszystkim na możliwości sprzedawania własnej pracy na rynku, dostrzeżemy łatwo wszystkie podobieństwa łączące komunizm z faszyzmem. Chociaż więc Niemcy hitlerowskie zachowały własność prywatną (co wyjaśnia, dła-

go gospodarka hitlerowska nie osiągnęła nigdy tego poziomu nieefektywności co gospodarka komunistyczna), zasługiwały one na nazwę „narodowego socjalizmu”. Zniszczeniu bowiem uległ tam rynek ludzkiego kapitału, a prawo zatrudnienia stało się własnością państwa. Tak jak tendencja socjalizmu jest nacjonalizacja własności, a nacjonalizacja rynku pracy, tak kapitalizm charakteryzuje się oboma tymi wolnościami, przy czym ta druga jest przynajmniej równie ważna jak ta pierwsza. To wyjaśnia, dlaczego kapitalizm sprzyja powstaniu cywilizacji wolności, choć nie jest z tą cywilizacją tożsamy.

„A...”: Stwierdził Pan, że logika rozwoju gospodarczego i społecznego ludzkości premiuje kapitalizm kosztem innych systemów, gdyż tylko zdecentralizowana gospodarka może udźwignąć rosnące zróżnicowanie procesu decyzyjnego. Przyzna Pan jednak, że bardzo wielu znawców przedmiotu uzna podobne kapitalistyczne roszczenie za zupełnie bezpodstawne. Wśród argumentów przeciw Pańskiemu twierdzeniu dwa wydają mi się najciekawsze i chciałbym, żeby się Pan do nich ustosunkował. W argumentie pierwszym mówi się, że w konflikcie między wolnością czyli kapitalizmem a bezpieczeństwem czyli socjalizmem, wolność musi przegrać, gdyż jest mniej atrakcyjna. Wolność nie obiecuje niczego, lecz jest jedynie stanem negatywnym, czyli warunkiem osiągnięcia innych dóbr i wartości. Twierdzi się, że ludzie znudził się wolnością i wolał przehandlować ją za bezpieczeństwo. Mówi się tak o niektórych grupach społecznych na Zachodzie, a przede wszystkim mówi się tak o społeczeństwach komunistycznych (np. Zinowiew). Obserwuje się coraz mniejszą chęć angażowania się jednostek w ryzykowną grę wolnej konkurencji, a coraz większe pragnienie wyzbycia się wszelkiego ryzyka. Drugi kontrargument jest rozwinieciem myśli pierwszego. Twierdzi się mianowicie, że wolny rynek jest możliwy tylko w kulturze indywidualistycznej, a ta się już skończyła. Jednostka jako podmiot społecznego działania została wyparta przez grupy, kolektywy, organizacje, które właśnie dlatego, że są duże posiadają tyle siły, by nie angażować się w niepewną grę rynkową. Wola dochodzić swoich roszczeń metodami politycznymi, przez wywieranie wpływu na aparat władzy i zdobywanie tą drogą uprzywilejowanej pozycji. Tradycyjny mechanizm rynkowy przestaje im być w ogóle potrzebny. Czy nie uważa Pan, że oba argumenty posiadają dużą siłę perswazyjną?

D.O'K.: Może zacząć od kwestii drugiej. Nie ma wątpliwości, że każdy porządek ekonomiczny tworzy pożyteczne grupy interesów, które wolałyby uniknąć mechanizmu konkurencji. Wiele ekonomistów i polityków uświadamia to sobie, czego przykładem może być antymonopolistyczne ustawodawstwo w Anglii i Stanach Zjednoczonych. W Wielkiej Brytanii mamy do czynienia ze szczególnie trudnym przypadkiem nalogowego interwencjonizmu państwowego, w wyniku którego wytwarza się asymetria kosztów i zysków. W takiej sytuacji niezwykle trudnym staje się rozwiązanie nawet najbardziej nierentownego przedsiębiorstwa. Pod pojęciem asymetrii rozumiem fakt, iż koszty rozwiązania monopolu, na przykład monopolu transportowego w Londynie, lub prawie monopolu związku nauczycielskiego ustala-



jacego programu nauczania, skoncentrowane są na niewielkiej liczbie osób, natomiast zyski, choć małe, są rozproszone. Gdy jednak dodamy zyski wynikające z usunięcia wszystkich podobnych monopolistycznych lub prawie monopolistycznych interwencji, ogólna ich suma będzie ogromna. Nim to się jednak stanie, trzeba toczyć wielką bitwę o wprowadzenie mechanizmów rynkowych, a bitwa taka, o czym przekonała się pani Thatcher, jest bardzo trudna. Istnieją zatem poważne przeszkody utrudniające funkcjonowanie kapitalizmu, ale nieprawdą jest, że indywidualizm się skończył. Myślę, że premier Wielkiej Brytanii zdołała przekonać większość społeczeństwa, że obciążenie, jakie bierze się z rozszerzenia sfery rynkowej, jest generalnie opłacalne. Niektórzy twierdzą wręcz, że poprzednie reformy w kierunku upaństwowienia oświaty i lecznictwa były w ogóle niepotrzebne, bo w tym samym czasie inne kraje osiągnęły podobne rezultaty metodami ekonomii prywatnej. Zważywszy, że analfabetyzm w Wielkiej Brytanii zniknął około 1850 roku, wprowadzenie szkolnictwa upaństwowionego w roku 1970 było reakcją spóźnioną i mało sensowną. Obecnie, mimo pewnej nerwowości, pojawiają się w Anglii wyraźne preferencje indywidualistyczne. Wbrew krzykom Partii Pracy, okazuje się na przykład, że Anglicy w ogromnej większości wolą mieszkać we własnych domach, a nie w tańszych kolektywnych osiedlach. Dlatego wyprzedza państwowego budownictwa mieszkaniowego była w ostatnich latach jednym z największych sukcesów Partii Konserwatywnej. Przejdźmy teraz do punktu pierwszego poruszonego w pytaniu, czyli niebezpieczeństwa pojawienia się człowieka socjalizmu (*homo sovieticus*), który będzie wołał, by decyzje za niego podejmowało państwo. Zgodzić się wypada, że gospodarka zsocjalizowana utrwała pewien rodzaj zachowań ludzkich, a osłabia inny. Nie wydaje mi się jednak, by nastąpiło tutaj jakieś radykalne przekształcenie ludzkiej natury. System sowiecki w krajach Europy Wschodniej zdołał jedynie osłabić moralną siłę jednostki, lecz jej nie wyeliminował. Stwarzać to oczywiście będzie kłopoty w przypadku ewentualnej restauracji porządku kapitalistycznego w tych krajach. Istnieć będą silne ośrodki oporu przeciw metodom rynkowym, wywodzące się głównie ze środowisk moralnie i intelektualnie defektywnych, a więc takich, które Marks określił terminem *Lumpenproletariat*. My sami w Anglii dorobiliśmy się własnego lumpenproletariatu, głównie na skutek biurokratycznej rozbudowy systemu świadczeń społecznych. W przypadku Polski takie zjawiska muszą też istnieć, choć wydaje mi się, że duch indywidualizmu jest tutaj dużo większy niż w innych krajach regionu. Niebezpieczeństwo zsocjalizowania człowieka jest jednak realne, i to nawet w krajach wolnych, takich jak Szwecja czy Anglia. Szwecja stoi wręcz na granicy swego rodzaju despotyzmu. Nielegalnym jest tam na przykład bicie dzieci przez rodziców. Uważam, że podobne prawo jest nie tylko głupie, ale i niemoralne. Idea, że kwestia stosunku między dziećmi a rodzicami może być rozstrzygana przez państwo, jawi mi się jako odrażająca. Żeby nie było nieporozumień: ja jestem przeciwny biciu dzieci i nigdy nie uderzyłem własnego syna. Podobne zjawiska obserwujemy w Anglii. Na przykład, Rada Miejska w Londy-

nie czy Główna Rada Oświatowa, instytucje opalone przez marksistów i trockistów, tolerują chętnie każdy rodzaj moralnej obrzydliwości, lecz niemal natychmiast powodują usunięcie z pracy każdego, kto powie coś nieprzyjemnego o Czarnych. Akceptacja despotyzmu jest więc faktem i w tym sensie obawy zawarte w pytaniu są zasadne. Może jedynie mieć nadzieję, że stworzenie dzięki rynkowi nowych możliwości wyboru czy to w towarach, czy w usługach, czy w lecznictwie, czy w oświacie, pozwoli ludziom wrócić do sytuacji bardziej normalnej i bardziej zgodnej z naturą ludzką. Okazuje się, że tak samo jak ludzie wolą mieszkać we własnych domach, tak wolą również sami decydować o własnym życiu.

„A”: Na ostatek wróćmy do pierwszego pytania. Mowa tam była o Pana autoidentyfikacji jako konserwatysty i katolika. Podobne zestawienie nie stanowi rzadkości w ostatnich czasach. Można dać wiele przykładów wybitnych intelektualistów konserwatywnych podpisujących się świadomie pod religią katolicką. Połączenie takie, jakkolwiek często spotykane obecnie, sprzeczne jest z dość powszechnie do niedawna uznawanym poglądem, że religia katolicka jest wroga kapitalizmowi, zaś ten może szukać sprzymierzeńca jedynie w religii protestanckiej. Pogląd ten, cokolwiek by powiedział o jego dużej ogólności, posiadał wiarygodne uzasadnienie. Jakie wytłumaczenie znajduje Pan dla dość niespodziewanej, lecz wyraźnie rosnącej sympatii wielu katolików dla gospodarki wolnorynkowej?

D.O'K.: Zgadza się, że istnieje mocne związki między kapitalizmem a protestantyzmem. Działło się tak między innymi dlatego, że niektóre wersje protestantyzmu były dużo bardziej indywidualistyczne niż religia Kościoła rzymskiego. Max Weber mógł się mylić w szczegółach, ale jego ogólna teza o wpływie Reformacji na powstanie kapitalizmu wydaje się niepodważalna. Twierdząc jednak, że protestantyzm i katolicyzm jako religie chrześcijańskie mają wiele wspólne, przede wszystkim pojęcie duszy człowieka pozostającej w trwałym związku z Bogiem. Owo pojęcie zawiera *implicit* akceptację jakiejś formy porządku wolnościowego. Nie twierdząc, że taki porządek jest kulminacją chrześcijaństwa; o tym nie posiadam żadnej wiedzy i posiadać nie możemy. Praktycznie rzecz biorąc, stare spory między protestantyzmem a katolicyzmem są obecnie przestarzałe. Prawdziwa bitwa rozgrywa się dzisiaj między siłami chrześcijaństwa i cywilizacji z jednej strony, a siłami antycywilizacyjnymi z drugiej. Cywilizację tę na poziomie najwyższym wyraża chrześcijaństwo, a na poziomie materialnym kapitalizm. Jakiegokolwiek byłoby więc wady kapitalizmu, zasługuje on przynajmniej na tymczasowe poparcie ze strony religii chrześcijańskiej. Natomiast faszyzm i komunizm są z natury swojej odrażające z punktu widzenia chrześcijaństwa, gdyż religie zastępują one kultem państwa, a ludzie zmieniają w kapłanów tego kultu. Dlatego sądzę, że Kościół powinien zadeklarować choćby warunkową sympatię dla porządku liberalnego kapitalizmu, zaś protestanci i katolicy winni złączyć siły dla zwalczania wspólnego wroga, którym jest totalitaryzm.

Grudzień 1984

## BUDOWA HISTORYCZNEGO KOMPROMISU

Każde społeczeństwo składa się z grup i środowisk o charakterze regionalnym, zawodowym, religijnym itp. których interesy są w znacznej mierze konfliktowe. Grupy te i środowiska, świadome swoich celów i środków, jakimi dysponują, znając siłę własną i możliwości przeciwnika mogą zawierać i w warunkach pokoju społecznego zawierają ze sobą kompromisy. Tak dzieje się, gdy pracodawcy dogadują się ze światem pracy, gdy władze uczelni uzgadniają pewne działania ze studentami, gdy rozwiązuje się skomplikowane zagadnienia mniejszości narodowych. Kompromisy są jednak możliwe tylko wówczas, gdy przytłaczająca większość społeczeństwa wyznaje pewien wspólny system wartości, odwołanie do których napotyka w praktyce, a nie w teorii jedynie, życzliwy oddźwięk u antagonistów. Gdy społeczeństwo jest głęboko podzielone właśnie w sferze wartości zasadniczych, gdy interesy różnych jego części są z przeciwnymi sobie zespołami wartości związane, kompromis jest niemożliwy, sytuacja staje się rewolucyjną. Rewolucja jest próbą narzucenia przeciwnikowi siłą własnego systemu wartości, próbą wymuszenia uznania partykularnego interesu za interes powszechny. Nie inny charakter nosi rewolucja komunistyczna. Ktoś może w tym miejscu zastrzec się, że komuniści nie reprezentują wartości, ale pseudowartości, że ich utopia to rodzaj społecznej choroby psychicznej. To prawda. Nie sposób jednak nie przyznać, że bez szczerzego zaangażowania się w komunistyczny system pseudowartości dostatecznie wielkiej ilości ludzi, komuniści nie objęliby władzy w żadnym kraju, zwłaszcza w tak odpornym na kremłowskie idee jak Polska. Jest jednak pewna istotna różnica między rewolucją starego typu /np.



## Budowa historycznego kompromisu

narodowo-wyzwoleńczą/ a rewolucją komunistyczną. Podczas gdy pierwsza w wyniku zwycięstwa stwarza możliwości racjonalnego i pokojowego rozwoju społeczeństwa w drodze kompromisów, rewolucja komunistyczna nie może nigdy zrealizować swoich celów, gdyż dla osiągnięcia pełnego sukcesu musiałaby zniszczyć wszystkie funkcjonujące w społeczeństwie wartości. Dlatego rewolucja komunistyczna jest rewolucją permanentną. Rewolucję komunistyczną porównać można do ciężkiej choroby psychicznej, w której chory ma świadomość złego stanu, pragnie go poprawić, ale wszelkie wysiłki, jakie przedsięwzięje dla leczenia, szkodzą mu w stopniu proporcjonalnym do włożonej w nie energii. Jest więc komunizm chorobą ogromnie niebezpieczną, bo uderza w kategorie sterujące myśleniem i dlatego jeśli pragniemy go zwalczać, musimy tam interweniować. Dlatego najważniejszym polem bitwy z komunizmem jest sfera ideologii i tereny jej zakorzenienia. Dzięki ideologii odniósł on wszystkie swoje największe sukcesy, klęska więc na tym polu może się stać fundamentem jego unicestwienia. Dostrzec tu można poważne możliwości działania.

Mimo znanych sukcesów na niwie polityki /a może częściowo dzięki nim/ międzynarodowy komunizm traci jad w swoim ideologicznym łądle. W postawie dzisiejszych komunistów jest więcej niż kiedykolwiek dotąd klasycznego imperializmu i bezczelnego cynizmu. W coraz większym stopniu narzucony gorset ideologiczny jest dla nich koniecznością związaną z utrzymywaniem się przy władzy. Na całym zaś świecie można zaobserwować coś w rodzaju zwiększenia odporności na komunistyczne jady. W Polsce sytuacja jest podobna. Komuniści, którzy opanowali nasz kraj bezpośrednio po wojnie, rozpoczęli wówczas trwającą do dzisiejszego dnia rewolucyjną działalność zmierzającą do zniszczenia funkcjonującego tu od stuleci - i oczywiściego dla każdego - systemu wartości. Obecnie można z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że ponieśli na tym polu druzgocącą klęskę. Ideologia komunistyczna straciła w

wyniku tej klęski swój wymiar duchowy /czy raczej pseudo-duchowy/ i posiada dla władców Polski jedynie użyteczność funkcjonalną.

Polską rządzi obecnie siła w wysokim stopniu niepewna swych racji. Jest to sytuacja nowa. Zaraz po wojnie komuniści wierzyli w słuszność swojego działania, dziś drżą z niepewności i strachu, z jedną ręką na cynglu karabinu, a drugą na słuchawce telefonicznego połączenia z Moskwą. Komuniści polscy stanowią dziś w większym niż kiedykolwiek stopniu nagą siłę nieświadomą siebie, czy może jak kto woli - odgałęzienie moskiewskiej potęgi, dążącej do spanowania nad światem, ale pozbawionej rozumu i poczucia innego niż imperialny sensu działania. Czy z taką siłą można zawrzeć kompromis?

Historia prób dogadania się z polskimi komunistami jest długa i nie uwieńczona sukcesem. Nie będziemy się tu zajmować czasami powojennymi, kiedy komuniści jeszcze wierzyli w siebie. To zrozumiałe, że wówczas nie mogło jeszcze być mowy o kompromisie. Zajmiemy się okresem najnowszym. W okresie tym kilkakrotnie zdarzało się, że komuniści ustąpili przed siłą czy to Kościoła czy narodu jako całości, nie były to jednak rzecz jasna kompromisy. Za każdym razem, gdy bezpośrednio zagrożenie ustawało, powracali do swoich obyczajów i próbowali realizować nadal swoje antykatolickie dzieło zniszczenia. Odrzucali też z uporem wszelkie możliwe koncepcje reform, doprowadzając opozycję do zasadnego wprawdzie, ale błędnie stosowanego poglądu, że ustroj jest niereformowalny. W miarę negowania tych reformistycznych mniej lub bardziej sensownych koncepcji komuniści wprowadzali demokratyczną opozycję w stan niebezpiecznego radykalizmu grożącego w warunkach znanych trudności gospodarczych wybuchem nieracjonalnego gniewu. Doktryna środowisk demokratycznych kształtując się w opozycji do bezkompromisowej władzy z biegiem czasu stawała się coraz bardziej bezkompromisowa. Ujawniło się to w pełni w trakcie kampanii wyborczej, gdy część



## Budowa historycznego kompromisu

opozycji próbowała wystawić własne listy wyborcze, reszta zaś głośno nawoływała do bojkotu wyborów w imię wyborów prawdziwie demokratycznych. Była to w moim przekonaniu niebezpieczna próba sił, charakteryzująca sytuację, w jakiej strony nie widzą możliwości zawarcia kompromisu. Ale czy kompromis naprawdę jest niemożliwy.

Gdyby komuniści nadal wierzyli w swoje idee byłbym tu daleki od optymizmu. Ale jak już mówiłem, komunizm ideowo wyczerpał się. Mamy przeciwko sobie ludzi pozbawionych ideologii - którzy marzą tylko o tym, aby znaleźć jakieś korzystne dla siebie wyjście z impasu. Demokratyzacja, której domaga się z hukiem i hałasem opozycja, takim wyjściem być nie może. To propozycja bezkompromisowa, której ludzie rządzący PRL-em nie mogą przyjąć, jeśli nie chcą utracić wszystkiego, z życiem być może włącznie. Demokratyzacja oznacza dojście do władzy nieznanych nam jeszcze sił społecznych, które zapewne dokonałyby bezlitosnej rozprawy z ludźmi odpowiedzialnymi za ostatnie dziesięć lat polskiej historii. Dążenie do demokracji jest wynikiem bezkompromisowości i pryncypialności opozycji. Ma ono oczywiście swoje źródło w sytuacji politycznej - jest niejako zwierciadlanym odbiciem bezkompromisowości i pryncypialności komunistów.

Ale polityczne przyczyny nie są tu jedynymi. Dążenie to ma również swoje podłoże w błędzie teoretycznym bardzo dziś powszechnym, a jakiego starzy liberałowie nie popełniali. Ten błąd polega na utożsamianiu wolności z demokracją. Wolność i demokracja mogą z sobą iść w parze, ale nie muszą. Widać to wyraźnie, gdy weźmiemy pod uwagę ich przeciwieństwa. Przeciwieństwem demokracji jest system rządów autorytarnych, przeciwieństwem wolności - totalitaryzm. Jak widać na wielu przykładach /Chile, Argentyna/ możliwe jest połączenie sporej wolności i niemałej praworządności z systemem autorytarnym. Nie widać też żadnych a priori powodów, dla jakich nie dałby się pomyśleć system demokratyczno-totalitarny.

W dzisiejszych czasach reżimy autorytarne ewoluują zwykle w kierunku demokratycznym i osiągają optymalne połączenie wolności z demokracją /Hiszpania, Portugalia, Brazylia/, o ile nie przeszkodzi im socjalistyczna rewolucja.

Wydaże mi się, że nie powinniśmy się obawiać długotrwałej nawet epoki przejściowej rządów autorytarnych w naszym kraju. Dla wszystkich prawdziwych zwolenników wolności cenne będą: swoboda produkowania, podróżowania, samorząd regionalny i ochrona prawna, jaką rządy takie dają. Z demokratyzacją naprawdę można poczekać do lepszych czasów. Postulaty demokratyzacji i łączenie demokracji z wolnością - oto co najbardziej odstrasza naszą elitę władzy od reform. Łączenie wolności z demokracją mechanicznie niejako ustawia władzę i walczące o reformy środowiska w sytuacji bezkompromisowego egzystencjonalnego konfliktu. A przecież ludzie należący do rządzących dziś elit mogliby dać pewnego przynajmniej stopnia stać się sojusznikami wolności. Szczególnie wolność produkowania, która z racji ich uprzywilejowanej pozycji ekonomicznej jest z pewnością w obszarze ich percepcji mogłaby się im spodobać. A jest to wolność z wielu innych może najfundamentalniejsza.

Trzeba zastanowić się nad pytaniem: kto jest naszym przeciwnikiem - ustroj czy rządząca elita. Stawiam to pytanie alternatywnie, ponieważ obu tych przeciwników na raz nie zwalczymy. Jednak w moim przekonaniu można i należy próbować skłócić ich ze sobą. Postulaty naszej demokratycznej opozycji są w moim przekonaniu zwrócone bardziej przeciwko panom odpowiedzialnym za sytuację kraju, niż przeciw ustrojowi. Szanse powodzenia ma jednak w naszych warunkach program zupełnie przeciwny, nie skierowany przeciw komunistom, ale przeciw komunizmowi, nie moralny, ale polityczny - program kompromisu. Program ten ma jednak swoje dobre strony również pod względem moralnym. Jego moralnym fundamentem jest bowiem chrześcijań-



## Budowa historycznego kompromisu

skie wybaczenie. Kompromis jaki komunistom proponuje, jest następujący: pozostanie przy władzy, zachowajcie autorytarny ustrój, ale zrezygnujcie z komunizmu.

Być może obecne kierownictwo nie jest w stanie zrozumieć, a tym samym zaakceptować taką propozycję, jednak musi ona być często wypowiedziana, musi być stale, że tak powiem, dostępna na politycznym rynku, aby posłużyć się nią mógł ten, komu będzie przydatna. Propozycja ta różni się istotnie od dotychczasowych propozycji kierowanych pod adresem komunistów. Tamte formułowane były w okresie ideologicznej ofensywy komunizmu i były propozycjami kompromisu w dziedzinie ideologii, czyli w tej, w której kompromis jest niemożliwy. Ta jest zachętą do całkowitej ideologicznej kapitulacji za cenę określonych materialnych i innych korzyści. Tamte kierowane były pod adresem zorganizowanej władzy przez niezorganizowane jednostki. Ta pada w sytuacji, gdy zarówno społeczeństwo jak i władza pogrążone są w chaosie. Społeczeństwo, bo chociaż nie brak mu organizujących idei jest zniewolone i pilnowane przez milicję, władza, bo chociaż w mechaniczny sposób uniemożliwia społeczeństwu organizowanie się, nie posiada żywych idei, które nadałyby podmiotowy sens jej działaniom.

W tej sytuacji nawoływanie do kompromisu ma określone znaczenie, które winien jestem wyjaśnić. Kompromis zawierać wszak muszą grupy i środowiska obywatelskie świadome swoich celów, sił i środków.

Zanim jednak do tego przejdę, muszę raz jeszcze przypomnieć zasadę, jaką należy się kierować przy zawieraniu kompromisów. Jest to zasada zawierania kompromisów z ludźmi, a nie z ideami. Jej użyteczność wypływać może z faktu bezideowości komunistów, których główną troską jest utrzymywanie władzy. Zasada ta narzuca również określony stosunek do ZSRR, który wyznacza nie walka z rosyjskim imperializmem, ale nieustępliwość wobec komunizmu. Jeśli po-

tęga Rosji będzie nadal politycznym czynnikiem dominującym nad sytuacją Europy, trzeba się będzie z tą potęgą liczyć. Co do mnie, wolę żyć w imperialnej zależności od Rosji, ale w kraju, gdzie ceni się wolność jednostki, niż w państwie całkowicie suwerennym, ale totalitarnym. Oczywiście obecnie, gdy Rosja jest źródłem i motorem światowego komunizmu, takie rozumienie wydaje się być księżycowym. Gdy jednak staram się racjonalnie myśleć o możliwych kierunkach ucieczki z obecnego wielostronnego zaułka, widzę jako główne zagrożenie maksymalizm żądań wolnościowych. Taki maksymalizm, który narzucają płynące z poczucia krzywdy emocje, może bardzo przeszkadzać w rozprzestrzenianiu się wśród ludzi mających wpływ na sytuację polityczną idei, których wcielenie mogłoby przynieść wyzwolenie kraju ze schizofrenicznego jarzma komunizmu. Nie zapominajmy, że zarówno nasi komuniści, jak i komunistyczni władcy Rosji żyją obecnie w stanie głębokiego przekonania, że świat marzy tylko o jednym - o ich zgubie. To przekonanie paraliżuje ich wolę działania w jakimkolwiek kierunku, który nie umacnia bezpośrednio ich władzy.

Sądzę, że ogromnie ważne jest propagowanie wtrew psychologicznej oczywistości idei wybaczenia i pojednania. Mają one szansę zakorzenieć się szczególnie w Polsce, a ich potęga będzie tym większa im większa ideologiczna bezkompromisowość będzie im towarzyszyć. Komunizm - nie, wy - tak - oto program zaiste chrześcijański, jaki rozum i serce nakazują nam rodzimym i ob-c-ym komunistom zaproponować. Jest to program historycznego kompromisu.

Jak już wspomniałem, kompromis musi mieć swoje świadome podmioty. Jak je w obecnej sytuacji znaleźć i gdzie ich szukać? Społeczeństwo jest /poza nielicznymi grupami/ zatamizowane i zdezorientowane, władza również. Tylko Kościół jest bardziej świadomą swych celów siłą społeczną, na szczęście bardzo potężną i działającą w tych fundamentalnych pokładach idei, z których przyjąć może wyzwolenie od intelektualnego obłądka. Kościół będzie miał rzecz jasna decydujące znaczenie w polskiej ewolucji.



Jednak idee chrześcijańskie, które Kościół chroni, muszą wyjść z zachrystii - w społeczeństwo, muszą zacząć stero-  
wać ludźmi w codziennym praktycznym życiu. Zbyt długo już  
nasz religijny naród przebywał w sprzecznym z zasadami  
chrześcijaństwa uśpieniu. Wydaje się, że nadchodzi pora  
przebudzenia. Nie tylko dla nielicznych grupek najodważ-  
niejszych, ale i dla wszystkich - dla szeregowych Polaków.

Bezkompromisowość i pryncypialność znacznie ograni-  
czają dziś siły środowisk opozycyjnych. Większość ludzi  
utożsamiających swoje interesy z wolnością nie jest zdol-  
na do poświęceń, jakich wymaga pryncypialna konfrontacja  
z władzą. Jeśli ktoś posiadał śmiertelnego wroga, rozu-  
mie, jakiego typu strach paraliżuje tu wolę. Gdyby jednak  
przedstawić im program kompromisowy, program nie naraża-  
jący ich na osobistą nienawiść komunistów /bo nie wymie-  
rzony w komunistów samych/, a jednocześnie program roz-  
sądny i racjonalny, może byliby bardziej skłonni zaanga-  
żować swoje podeptane poczucie godności w walkę o osobis-  
tą i wspólną wolność. Ci obywatele, pozostający dziś w  
pozycji wyczekującej, ale zdolni głównie dzięki nauce Ko-  
ścioła do patriotycznego i racjonalnego myślenia, mogą  
wymóc na władzy wiele zmian. Ich włączenie się w ruch na  
rzecz wolności jest warunkiem koniecznym jego sukcesu.  
Jednak nie staną oni do twardej konfrontacji z władzą,  
konfrontacji w jaką zapędzona została przez wiele czynni-  
ków opozycja demokratyczna. Mogą się jednak zdobyć na kon-  
frontację miękką biorąc realistycznie pod uwagę egzyst-  
tencj.alne interesy komunistów i nie kierując się w  
działaniu nierozsądnym zaślepieniem. Nie jestem przeciw-  
nikiem konfrontacji z władzą. Jednak walka, której celem  
jest kompromis, musi zostać - wiać rządzącym drogę ucieczki,  
nie może ich wpędzać do ślepego zaułka, gdzie oszaleli  
ze strachu mogą się stać straszliwie niebezpieczni. A ta-  
kie właśnie postępowanie jest charakterystyczne dla do-  
magającej się demokratycznych reform opozycji. Wysłunięcie

własnych list wyborczych było rzec można zwieńczeniem tej w moim przekonaniu nieracjonalnej działalności. Istnieje olbrzymia ilość pól działania, na których możliwa jest miękka konfrontacja z władzą. Ponieważ obecne środowiska opozycyjne takiej działalności nie prowadzą na szerszą skalę, nasuwa się wniosek, że są to środowiska praktycznie radykalne /nie mylić z radykalizmem teoretycznym/ i drugi wniosek, że ludzie bezpośrednio działaniem na różnych teatrach miękkiej konfrontacji zainteresowani nie widzą jeszcze dla siebie możliwości społecznego czynu.

Jest to zrozumiałe. Obecni opozycjoniści stanowią awangardę wolności - to jej najbardziej nieprzejednani obrońcy. Jednak ich radykalizm skierowany w znacznej mierze przeciw ludziom, którzy rządzą w PRL nie pobudza do działania innych. Ci inni też są zdolni do konfrontacji, ale nie tej twardej, tej pryncypialnej, lecz do konfrontacji, której celem jest kompromis i które nie implikuje egzystencji alnego ryzyka zaangażowanych stron.

Domena miękkiej konfrontacji jest rozległa. Obejmuje ona wszystkie niemal dziedziny życia społecznego i osobistego. Należy do niej obrona godności i wolności przez domagające się poszanowania prawa jednostki, ale należy do niej też działalność w dziedzinie ochrony środowiska naturalnego, prace związków zawodowych, ochrona rodziny, działalność społeczna w spółdzielniach o resztkowo niezależnej strukturze, w różnego rodzaju komitetach gminnych, blokowych itp.

Wielu obywateli taką działalność skromnie i bez rozgłosu od dawna prowadzi. To dzięki nim w dużej mierze mamy dziś tyle wolności, ile mamy. Dziedzina miękkiej konfrontacji jest bardzo zróżnicowana ze względu na ilość odwagi, jaką trzeba dysponować, aby z władzą walczyć. I tak np. działalność w ramach niezależnych związków zawodowych wymaga jak sądzę bohaterstwa, zakładanie niezależnych komitetów ochrony przyrody dowodzi nie lada odwagi, ale już



## Budowa historycznego kompromisu

praca w tzw. legalnych związkach zawodowych i tzw. legalnych związkach zawodowych i tzw. legalnych towarzystwach ochrony przyrody jest dostępna i dla osób mniej odważnych.

Jak wielkie są możliwości działania w tzw. legalnych granicach wskazuje przykład aktywisty związkowego w AGH Roberta Kaczmarka. Jeśli działalność Kaczmarka przy ideologicznej bezkompromisowości nadal znamionować będzie pragmatyzm i kompromisowość względem władz uczelni w sprawach, w których komuniści z przyczyn egzystencjalnych ustąpić nie mogą, możemy się stać świadkami wydarzeń niezwykłych. Kaczmarek dowiódł, że istnieje możliwość uczyńnięcia ze związków zawodowych instrumentu społecznego umożliwiającego społeczeństwu organizowanie się wokół idei godności, równości, sprawiedliwości. Podobne możliwości /choć ich rola byłaby rzecz jasna inna/ mają przed sobą Stronnictwo Demokratyczne, Zjednoczone Stronnictwo Ludowe i wiele innych zarejestrowanych, dysponujących sporym majątkiem i przez państwo popieranych drobniejszych organizacji.

Niezależne i w ramach tzw. legalności działające związki zawodowe, komitety ochrony, towarzystwa naukowe, samorządy osiedlowe, wiejskie itp. mogą stać się dla naszego społeczeństwa praktyczną szkołą wolności. Podkreślam - wolności, a nie demokracji, którą będzie można urzeczywistnić dopiero jako tej wolności ukoronowanie. Demokracja wolnościowa jest bowiem najwyższym piętrem gmachu wolności i nie można jej zbudować nie postawiwszy uprzednio całego gmachu. Powinni to brać pod uwagę obywatele, którzy pragną być politycznie aktywni. Ta wiedza ułatwić może porozumienie pomiędzy władzą a aktywną częścią społeczeństwa.

Zorganizowanie się społeczeństwa wokół różnych żywych idei uczyni to społeczeństwo podmiotowym. Nauczy się ono stawiać swoje postulaty świadomie i spełni w ten sposób warunek konieczny z jego strony do kompromisu. Różne

szczególne władzy bezpośrednio zainteresowane poczynaniami danych grup i środowisk będą miały po prostu z kim rozmawiać, znajdując rozmówców kompetentnych, odpowiedzialnych i mających rzeczywisty mandat społeczny zarówno na konfrontację, jak i na zawieranie kompromisów. Zorganizowane społeczeństwo postawi władzę przed problemami, których rozwiązanie wymagać będzie podniesienia kwalifikacji, a przede wszystkim ideowej organizacji. Może się wydać komuś paradoksalne, ale obecni komuniści są równie, a może nawet bardziej niezorganizowani jak polskie społeczeństwo. Żyją oni w mechanicznym i magicznym kole posłuszeństwa i strachu. Kolektywnie, ale nie społecznie, zbiorowo, ale samotnie. Nie posiadają też żadnych centrów intelektualnych zdolnych do wyrażania ich interesów. Z tego głównie powodu nie nadają się oni na partnera jakichkolwiek odpowiedzialnych rozmów na tematy społeczne, a tym bardziej na udziałowca kompromisu. Ta sytuacja może się zmienić pod wpływem nacisku zorganizowanego społeczeństwa.

Komuniści polscy byli już raz do pewnego stopnia zorganizowani – zaraz po wojnie, ale realizując swoje, a przede wszystkim cudze utopijne cele, wpadli w tryby mechanizmu, który wypompuwał z nich życie. Teraz mogą stanąć przed nową szansą. Co prawda /i na szczęście/ nie oni sami, ale ich synowie i wnuki /zarówno w sensie biologicznym jak i duchowym/. Odpowiedzialność synów i wnuków jest znacznie mniejsza i dlatego łatwiejsze jest wybaczenie. Obecnie potrzebna jest organizacja władzy wokół jej interesów. Taka organizacja może utworzyć się stopniowo, w miarę jak organizować się będzie społeczeństwo. Miękką konfrontacją na szczeblach lokalnych przenosić się może coraz wyżej, umożliwiając rozumienie istoty kompromisu przez coraz wyższe czynniki władzy. W miarę rozwoju tej sytuacji bezideowa władza przejmować może żywe idee sterujące rzeczywistym życiem narodu. Będzie to wychowanie władzy na drodze miękkiej, ale permanentnej konfrontacji,

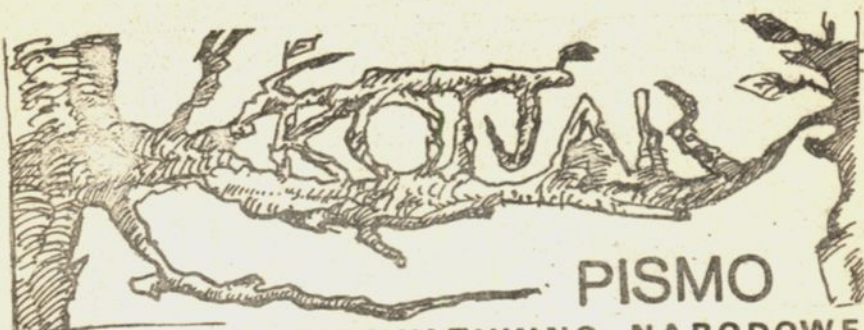


której celem nie jest przepędzenie komunistów samych, ale realizacja przez różne grupy społeczne i środowiska partycularnych interesów. Wydaje mi się, że obywatele, którzy pragną wziąć udział w formowaniu tego elastycznego frontu, nie muszą stosować ultrademokratycznej terminologii, poprzestając na osiąganiu wytycznych celów i skutecznej samoobronie. Tylko wtedy istnienie i działanie ich społecznych związków będzie /acz niechętnie/ tolerowane przez wrażliwą na magię słów exideologiczną władzę. Taka konfrontacja z władzą /jeśli nie popsuje sprawy zbudowania rewolucyjnego/ stanie się czynnikiem rozpowszechniania postaw podmiotowych i kompromisowych, co przy wytrwałych wysiłkach przynieść może historyczny kompromis, podstawę bardzo może jeszcze odległej wolnościowej demokracji.

#### Ze skarbezika historii...

● Starożytni posiadali system organizacji pracy, który określony został mianem niewolnictwa. Znamieniem niewolnictwa jest praca przymusowa, wynagradzana wedle woli tego, który ją narzuca. Takim było niewolnictwo u narodów starożytnych. Urzeczywistnienie systemu komunistycznego sprowadziłoby jeszcze gorszy stan. Cóż bowiem proponuje komunizm? Czegoś pragnie? Pracę przymusową, wynagradzaną wedle woli narzucającego ją państwa. Gdzie kryje się różnica między tym systemem, a systemem starożytnym? Otóż komunizm zastępuje poszczególnych panów jednym jedynym panem: abstrakcyjnym, nieugiętym, nieczułym, nie posiadającym żadnego związku z niewolnikiem - a niewolnik pozbawiony zostaje tej ochrony, jaką człowiek znajduje zawsze w resztkach ludzkości pozostających w sercu drugiego, choćby najbardziej zatwardziałego człowieka. Tego rodzaju władza państwa jest sumą wszelkich dominacji; w dzisiejszym naszym społeczeństwie byłaby powszechna i absolutna koalicja wszelkiego rodzaju panów. U starożytnych niewolnik mógł zostać wyzwolony i w istocie często bywał wyzwalany; tu zaś brak jakiegokolwiek możliwości wyzwolenia. *Félicité de Lamennais: "Zagadnienie pracy" w: "Le Peuple Constituant", 1848* ●

● Socjalizm to powszechna biurokracja, niczego nie pozostawiono w nim prywatnej inicjatywie jednostek ani grup, wszystko jest zbiorowo zarządzane, cały kraj jest jedną wielką administracją kierowaną przez grupę, zbiorowość, przez klasę społeczną czy parlament. Potrzebny jest jedynie przywódca otoczony doradcami, do których wskaże odwołuje się jedynie w trybie konsultacyjnym. Jest to cezaryzm. Cezaryzm wydaje mi się naturalną i nieomal konieczną formą rządów socjalistycznych. Zresztą czy to pod prawdopodobną formą arystokratyczną (chodzi o to, co później nazwano kierownictwem kolektywnym - przyp.tłum.) czy też cezarską, socjalizm byłby w tej samej mierze niszczycielem wszelkiej wolności, jest on bowiem samym anty-liberalizmem, ponieważ wszelką wolność rozumie jako stratę siły społecznych i jako pewną formę anarchii, ponieważ pragnie wszystko skoncentrować aby niczego nie utracić, ponieważ chce urzeczywistnić jedność moralną, jedność intelektualną, jedność przemysłową, jedność rolniczą, jedność handlową; ponieważ jest despotyzmem. *Emile Faguet: "Le liberalisme", Paryż 1902* ●



# PISMO KONSERWATYWNO-NARODOWE

## POZNAŃ

Leopold TYRMAND - urodził się w Warszawie w 1920 roku, lata okupacji spędził w Wilnie, na robotach w Niemczech, w Norwegii. Po powrocie do kraju współpracował z "Przekrojem" oraz "Tygodnikiem Powszechnym". W 1948 roku wychodził jego pierwszy zbiór opowiadań "Hotel Angar". W okresie stalinowskim umiarkowanie represjonowany /zakazy druku/. Jego perypetie w tych latach znalazły odzwierciedlenie w znakomitym "Dzienniku 1954" wydanym w Londynie /1980/. W czasie tzw. odwilży w PRL wydał kilka książek, którymi zdobył sobie uznanie jako twórca dojrzały i ukształtowany. W 1956 roku ukazuje się jego słynny "Zły", rok później natomiast "Gorzki smak czekolady Lukullus". W roku 1959 w Wielkiej Brytanii wychodzi powieść "Siedem dalekich rejsów", a w 1961 najlepsza, według słów samego Tyrmanda, powieść "Filip". Instytut Literacki w Paryżu wydaje w 1967 roku powieść "Życie towarzyskie i uczuciowe". W roku 1965 rozczarowany Tyrmand emigruje na Zachód, a od 1968 przebywa w Stanach Zjednoczonych. W tym okresie /1970/ powstaje tom polemik z liberalizmem amerykańskim "Notebooks of a Dilettante" oraz "Rosa Luxemburg Contraceptives Cooperative" wydana także po polsku jako "Cywilizacja komunizmu" /Londyn 1972/. Rok 1976 przynosi zbiór uwag o Polsce "Tu w Ameryce - Dobre rady dla Polaków". W czasie pobytu w USA L. Tyrmand zostaje wiceprezesem konserwatywnego The Rockford Institute oraz redaktorem pisma "Chronicles of Culture". Umiera na serce w czasie serii wykładów na południu Stanów 19 marca 1985.

- Poniżej prezentujemy wywiad, jakiego Leopold Tyrmand udzielił "Tygodnikowi Nowojorskiemu" na przełomie 1984 i 1985 roku. Rozmowę przeprowadził Wojciech Wierzewski.



...nie pozostało mi  
nic innego jak zostać  
pisarzem

● Jakie fakty przesądziły o tym, że został pan pisarzem?

Jak każdy młody człowiek urodzony w Polsce przedwojennej żywo reagowałem na bujny, niemal żywiołowy rozwój kultury owego czasu. Bardzo chciałem zostać dziennikarzem. Dziennikarstwo było zawodem, który pociągał mnie od najmłodszych lat. Wytkumaczenie tych skłonności jest chyba niemożliwe. Marzenia te zaostrzył typowy konflikt młodego człowieka z rodzicami, którzy zadawali mi pytanie: "Dziennikarstwo? A coż ci to da?" Ponieważ byłem dobrym synem bardzo dobrych rodziców, stanęło na tym, że będę studiował architekturę. Miałem zawsze skłonności do plastyki, sztuk pięknych i to ułatwiło mi decyzję. Był to w końcu rozsądny kompromis pomiędzy zawodem duchowo niezależnym a praktycznością życiową. Otrzymałem mizerne stypendium rządowe i pojechałem na studia architektoniczne do Paryża. Spędziłem rok czasu na Akademii Sztuk Pięknych, po czym wróciłem do kraju na wakacje. Było to lato roku 1939...

● I wszystkie pańskie plany uległy historycznej poprawce...

Tak, ale kiedy po wojnie powróciłem do Polski z Zachodu, postanowiłem zrealizować swoje wcześniejsze młodzieńcze zamia-ry - i postawiłem na swoim. Zostałem dziennikarzem przynajmniej przez pewien okres czasu, dopóki dziennikarstwo w Polsce powojennej miało sens i nie naruszało osobistej niezależności. Pracowałem najpierw w krakowskim "Przekroju", potem w warszawskim "Ekspresie Wieczornym". Byłem w pierwszym zespole "Słowa Powszechnego", wreszcie wyładowałem w "Tygodniku Powszechnym". Było to w chwili gdy stalinizm w pełnej krasie wkroczył do Polski, i być dziennikarzem w prasie codziennej oznaczało dać się zaszeregować światopoglądowo i politycznie. Czego ja zrobić nie chciałem.

To długa historia, ale niemal od dziecka byłem przeciwny wszelkim radykalizmom społecznym. Kiedy w wieku lat 15 czy 16 zetknąłem się po raz pierwszy z tymi sprawami, wrażenie to pozostało już trwałe piętno na moim całym dalszym życiu. Jest reszta takie słynne powiedzenie Bismarcka: "Każdy kto miał lat 18 i nie był komunistą jest człowiekiem najwyraźniej pozbawionym inteligencji i uczuci; ale każdy kto ma lat 40 i nadal pozostaje komunistą, jest po prostu głupcem". Stąd wniosek, że chyba nigdy nie byłem inteligentny, bo nigdy nie sympatyzowałem z tą filozofią i wcześniej wypracowałem w sobie jakiś odpór na "pokusy postępowości". Od samego początku, kiedy zacząłem myśleć samodzielnie, miałem jednak skłonności liberalne, tak jak chyba większość młodych ludzi mego pokolenia.

● Jaką miał pan w tej sytuacji zawodową alternatywę?

Nie pozostało mi nic innego jak tylko zostać pisarzem. Być dziennikarzem oznaczało wziąć na siebie dobrowolne jarzmo. Kiedy wyrzucono mnie z "Przekroju" za "nieprawomyślność", poszedłem najzwyczajniej na drugą stronę ulicy, gdzie mieściła się redakcja "Tygodnika Powszechnego". Formalnie zostałem ich

przedstawicielem administracyjnym na Warszawę, ale oczywiście pisałem dla nich jako publicysta. Lecz i "Tygodnik" został niebawem zamknięty... Napisałem jedno czy dwa opowiadania do "Przekroju", jak i do "Tygodnika", miałem też na swoim koncie scenariusz filmowy oparty na własnym tekście. Ale nigdy wcześniej nie myślałem poważnie o pisarstwie, ani też w tym kierunku świadomie nie dążyłem...

- A jednak w połowie lat pięćdziesiątych był pan autorem autentycznego bestselleru literackiego, jakim stał się "Zły".

Kiedy tylko pojawiła się możliwość zarobienia jakichś pieniędzy, bo "Czytelnik" podpisał ze mną umowę na popularną powieść sensacyjną, usiadłem i wykonałem to, czego ode mnie oczekiwano. Była to dla mnie głównie komercyjna impreza. Lecz "Zły" stał się czymś więcej, niż romansem sensacyjnym: był wielowarstwową powieścią i miał w sobie tyle komponentów, że jego zawartość można było sobie ułożyć zawsze wedle oczekiwanych potrzeb. Mówiąc szczerze, "Zły" był powieścią wersją ballady ulicznej, a nie thrillerem czy powieścią detektywistyczną.

- Tak więc został pan niejako "pisarzem z konieczności", dla chleba. Ale zasmakował pan najwyraźniej w pisarstwie, skoro po "Złym" pojawiły się opowiadania "Gorzki smak czekolady Lukullus", powieści "Filip" oraz "Życie towarzyskie i uczuciowe"...

To był już tylko sympatyczny bilans niezamierzonych okoliczności...

- Powracając do "Złego", z którym najczęściej kojarzy pana zarówno czytelnik krajowy jak i emigracyjny, i który jest częścią także mojej młodości /jako uczeń gimnazjum czytałem książkę pod ławką z wypiekami na twarzy i własnie o "Złym" pisałem wypracowanie maturale w ramach "tematu wolnego"/ - co właściwie było bezpośrednią inspiracją do napisania tej powieści?

Jak już mówiłem, "Zły" to "czarna Mańka" na 700 stronach. Czysta literacka fantazja z gatunku "rynsztokowej klechdy", mającej oczywiście wcale długą i nie najgorszą tradycję w literaturze europejskiej, by wspomnieć jedynie "Operę żebraczą" Goya czy "Operę za trzy grosze" Brechta, "Tajemnice Paryża" Eugeniuśa SUE czy romanse Aleksandra Dumasa. Jest to stary, ceniony nurt literacki.

- Zgoda, ale jednocześnie pańska powieść była tak silnie umiejscowiona w polskich realiach i w krajobrazie konkretnego miasta, Warszawy. Skąd czerpał pan tę bezpośrednią wiedzę o mrocznym świecie przestępczym?

"Zły" nie jest ściśle książką o świecie podziemnym, lecz o najwnie wyidealizowanym wymiarze sprawiedliwości. Taka materializacja dobra w starciu ze złem sięga motywów biblijnych i pojawia się w legendach licznych narodowych literatur. Jest to jakiś nowy Superman, heros starający się wymierzać sprawiedliwość. I jeśli weźmie pan pod uwagę moje zainteresowania jazzem, muzyką balladowo-rynsztokową wywodzącą się z folkloru wielkomięjskiej ulicy, to znajdzie pan łatwo dodatkowe uzasadnienie. Otóż prawda jest taka, że od najmłodszych lat pasjonowałem się folklorem ulicy. Chodziłem do kina na populistyczne filmy René Claira, czytałem liczne książki o tej tematyce. Uwielbiałem



wręcz podsłuchiwać rozmowy jakie w parkach prowadzili żołnierze romansujący z kucharkami. Chwytałem uliczne piosenki śpiewane przez dochodzącego amanta służących w sąsiedztwie, takie jak "Dwunasta godzina na miejskim zegarze", ballady złodziejskie czy więzienne.

- Ale czy sam pan zetknął się kiedyś z tym światem bezpośrednio i był z jego reprezentantami na bliskiej stopie?

Oczywiście, że znam te środowiska z Warszawy. Przede wszystkim - pochodziłem z niezamożnego domu i spędziłem dzieciństwo nie w salonach, ale na ulicy. To być może jeszcze nie wyjaśnia sprawy. Można być nawet częścią pewnej subkultury, a nie żywić do niej żadnego stosunku czy emocji. Otóż ja zdecydowanie miałem wielki sentyment do miejskiego folkloru Warszawy. Jednakowo reagowałem na amerykańskiego bluesa, paryski walc java i warszawską podwórzową piosenkę. Kiedy nadeszła pierwsza okazja napisania o tym, dokonało się coś, co Kisielewski nazwał "uwolnieniem się z okowów niedojrzałości", wyrzuceniem z głębi siebie nawarstwionych tam fascynacji i sentymentów. To samo mniej więcej napisał Gombrowicz o mnie i o "Żłym" w swoich "Dziennikach". Że było to wypłucie z siebie jakiejś empirii, związków i lojalności wobec świata, z którego wyszedłem.

- Mówimy przez cały czas jakby o dwóch różnych perspektywach: pańskiej osobistej inspiracji i dość powszechnej wówczas recepcji. Pamiętam doskonale, że traktowano "Żłego" jako powieść na poły dokumentalną, jako opis polskiej rzeczywistości, nie tylko warszawskiej, którą zwolna zaczęło się w tych latach "odkłamywać". "Żłym" przypominał, że istnieje w Polsce świat przestępczy i że sprawiedliwości w tym kraju nie zawsze staje się zadłość. Więcej, pańska książka opisywała mechanizmy funkcjonowania przestępczego podziemia. Stąd budziło się powszechne pytanie: jak pan w te labirynty trafił, w jakim trybie został pan do nich dopuszczony?

To zasługa wojny, który stała się wielkim społecznym katalizatorem. Podczas okupacji, jak wiadomo, trzeba było handlować. Część "interesów" Armii Krajowej szła, i musiała iść, tymi właśnie kanałami podziemia kryminalnego. Stąd i szerokie kontakty między ludźmi, którzy w zwykłych warunkach oddzieleni byli od siebie całymi piętrami struktury społecznej. Pierwszą część wojny spędziłem w Wilnie, drugą na robotach w Niemczech. Tam zetknąłem się bezpośrednio z grupami naszych kryminalistów uciekającymi przed niebezpieczeństwem w oko rytmu. Proszę pamiętać, że w chwili wybuchu wojny mnóstwo ludzi wydostało się z więzień. W Wilnie stało się to dwa razy: w 1939, kiedy wroczyli Rosjanie, i w 1941, kiedy weszli Niemcy. Pewne ilości przestępczego elementu znalazły się więc na wolności i natychmiast wyruszyły do Niemiec. Opisałem to wszystko w "Filipie", powieści prawie autobiograficznej.

- Jak ułożył sobie pan stosunki z tymi ludźmi?

Spędziłem z nimi w obozie ponad dwa lata. Wypracowaliśmy sobie całkiem praktyczny modus współżycia. Byłem ich tłumaczem, a więc opiekunem. I kiedy w kilka lat po wojnie znalazłem się bez pracy po zamknięciu "Tygodnika Powszechnego", zdesperowany udałem się na Dworzec Główny Towarowy w Warszawie, opanowany wówczas przez warszawską "mafię", gdzie było też sporo ludzi, których znałem z Niemiec. Wszystkie moje starania o otrzymanie jakiegokolwiek pracy, czy to w zawodzie kelnera /co znalazłem z lat

wojny/, czy choćby przy zmywaniu naczyń, kończyły się definitywną odmową, bo byłem na czarnej liście UB. Toteż kiedy zjawiałem się na Głównym, powiedziano mi krótko: "nie bądź frajer, jak będziesz potrzebował, my ci damy na życie". Tak więc koło się zamknęło.

Kiedys Wiech powiedział mi ze szczera zazdrością: "Ty to znasz naprawdę świat, który ja widywałem tylko w sali sądowej! Ja wymyślałem ich slang, tyś go po prostu notował". Wiech był rzeczywiście geniuszem językowym, sam tworzył dialogi, które wkładał w usta swoim bohaterom. Ale taki język naprawdę nie istniał. Toteż kiedyś pokazał mi, nie bez rozżalenia, słownik Doroszewskiego: "Oni tu ciebie bez przerwy cytują!". Ten folklor i język znał też dobrze Marek Hłasko i Marek Nowakowski...

- Po opublikowaniu "Złego" zaczęła się też pana kariera jako scenarzysty filmowego.

To było znacznie wcześniej. Napisałem dla "Przekroju" moje pierwsze opowiadanie "Niedziela w Stavanger", które weszło potem do tomu "Hotel Angar" / nota bene - palonym na stosach w epoce stalinizmu, nawet nie za treść, a za AK-owską kotwicę na okładce!/. Może wygląda to nieprawdopodobnie, ale w czasie wojny przez pewien czas byłem na morzu. Pracowałem jako palacz na niemieckim frachtowcu, usługując w ten sposób wyostać się z Rzeszy do Szwecji. Gdzieś w roku 1947 zjawił się u mnie reżyser Stanisław Urbanowicz i zaproponował abyśmy usiedli i napisali wspólnie scenariusz o rybakach w Darłowie. Zrobiłem to, scenariusz nawet się podobał, rzecznikiem naszej sprawy był wtedy Stanisław Wohl, stojący na czele zespołu. Ale "Filmem Polskim" rządził wtedy Aleksander Ford, który utracił projekt, mówiąc, że "o morzu to już robi coś jego zespół" /była to osławiona "Zaloga"/. Nam zarzucił "obronę inicjatywy prywatnej", operując modnym słownikiem socrealistycznym, i postawił na swoim, co kompletnie załamało Urbanowicza. To było moje pierwsze doświadczenie filmowe.

- Potem, jak pamiętam z "Dziennika", reżyser Antoni Bohdziewicz zamówił u pana nowelę o młodej pływaczce, która weszła do wieloepizodowego filmu "Trzy starty", realizowanego przez absolwentów szkoły łódzkiej, i wprowadzonego na ekrany w roku 1955...

Po pobycie w Darłowie napisałem część powieści, którą wtedy przerwałem i skończyłem dopiero z końcem lat 50-tych /wyszła w wiele lat później w Londynie pod tytułem "Siedem dalekich rejsów"/. Pokazałem ją Wojciechowi Hasowi, który powiedział: "Ja to będę robił". Był to chyba rok 1957, Has tracił zdrowie siedząc przez rok nad scenariuszem, który znów panowie Ford i Stawiński odrzucili, korzystając z poparcia ówczesnego nadzorca polskiej kultury, Starewicza. Przestało mi z czasem zależeć na tej książce i filmie, ale tekst nadal krążył. Pojawił się wtedy u mnie Jan Rybkowski i zadeklarował: "Hasowi się nie powiodło, ale mnie się uda!" I rzeczywiście, postawił na swoim. Film "Naprawdę wczoraj" z Beatą Tyszkiewicz i Andrzejem Łapickim wszedł na ekrany w 1963 roku, tyle, że Rybkowski to nie Has. Był to materiał na film erotyczny z prawdziwego zdarzenia, ale nie dano go Hasowi robić.

- A jak było z próbami filmowej ekranizacji "Złego"?

Pierwszy zainteresował się książką Ludwik Starski, który kupił powieść "na pniu", będąc sam zainteresowany napisaniem scenariusza. Potem przyznał się, że rozmawiał z czterema czy pięcio-



ma osobami - i wszyscy rozłożyli ręce. "Z tego nie można zrobić scenariusza!" Zgodziłem się z nimi bez wahania, dlatego właśnie napisałem "Złego" jako powieść. Potem jednak przyszedł Jerzy Hoffman z Edwardem Skórzewskim, którzy właśnie mieli na swoim koncie głośny dokument "Uwaga, chuligani!" Popracowali nad tekstem ponad rok - i znów im z tego nic nie wyszło. Sprzedałem też "Złego" do Anglii, Sydneyowi Buchmanowi, dość znanemu amerykańskiemu przedsiębiorcy, który chciał przenieść akcję filmu do Liverpoolu. Ale i jemu to się nie powiodło. Natomiast "Zły" ukazał się po angielsku, tak jak i w 16 innych językach świata, tyle, że bardzo skrócony, pokastrowany.

Ostatnio jednak zgłosił się do mnie młody człowiek z Polski, reżyser Witold Orzechowski, rezydujący obecnie w Nowym Jorku, który nie tylko napisał własny scenariusz w oparciu o "Złego", ale przygotował się do zdjęć i miał je rozpocząć w okresie trwania "Solidarności". Po czym - wiemy co zaszło. Orzechowski nie ustępuje, pisze mi wciąż, że nie umrze zanim nie zrobi filmowego "Złego". Myślał o zdjęciach w Jugosławii. Nie bardzo to wierzę. "Złego" można by ewentualnie nakręcić, ale tylko w Warszawie. Choć i tam nie ma już tej Warszawy z mojej powieści...

- Czy nie interesowano się sfilmowaniem innych pana opowiadań i powieści, choćby "Filipa"?

Tak. Pierwszym, który się zgłosił był Andrzej Munk. Wkrótce po tym zginął w wypadku samochodowym. Ale zanim to się jeszcze stało, powiadomił mnie, że nie uda mu się uzyskać pozwolenia na produkcję. Znowu byłem na indeksie. Kiedy po raz pierwszy po wojnie wypuszczono mnie za granicę, w 1957 roku, opublikowałem w "Tygodniku Powszechnym" duży esej, który później był szeroko przedrukowywany i cytowany w zachodniopiemieckiej prasie. Oskarżono mnie wtedy w Polsce o wysługiwanie się Adenauerowi, o wrogie polityczne intencje. To co napisałem sprowadzało się do stwierdzenia, że są nowe Niemcy, z którymi trzeba zacząć rozmawiać. Skoro prowadzimy dialog z Moskwą, prosta zasada nakazuje szukanie przeciwwagi. Nie było w tym nic nowego, stare polemiki między Piłsudskim i Dmowskim.

- W 1965 roku wyjechał pan na Zachód ponownie, tym razem zabierając ze sobą "Dziennik" w brulionach i biorąc poważnie pod uwagę możliwość emigracji. Co ostatecznie przesądziło o odmowie powrotu do Polski?

Nie miałem już wtedy żadnych złudzeń, że wcześniej czy później moje możliwości publikacji w Polsce się skończą, że znów mnie nie będą wydawać. Podpisałem właśnie z PIW-em umowę na "Życie towarzyskie i uczuciowe", nad którym siedziałem przez sześć lat, właściwie wiedząc, że mi tego w kraju nie wydadzą. Pozostawiłem jednak pełnomocnictwa Tadeuszowi Konwickiemu, który miał mi przekazać definitywną wiadomość, od której uzależniałem swoje dalsze kroki. Powiedziałem sobie jasno, że jeśli powieść będzie wydana - wracam do Polski. Jeśli nie - zostaję na Zachodzie. Konwicki przesłał mi wiadomość: "Nie ludź się, nie wydadzą". Zaniósłem maszynopis do paryskiej "Kultury", która od początku zainteresowana była drukiem tej powieści.

- Czyli klanka zapadła po tamtej stronie...

Mój los został przesądzony znacznie wcześniej, przez "Filipa", który ukazał się w krakowskim Wydawnictwie Literackim w 1961 roku. Wyszedł on tam "na przekór" istniejącym układom i osobom rządzącym rynkiem wydawniczym. Dyrektor tego wydawnictwa był w konflikcie z Naczelnym Zarządem Wydawnictw w Ministerstwie

## Leopold

Umierają mi ludzie, dopóki ja ludziom nie umrę. Każda śmierć dotyka, śmierć Leopolda Tyrmanda dotknęła mnie szczególnie.

Dlaczego - wiem albo domyślam się prywatnie, to znaczy tak, że nie musi to nikogo obchodzić publicznie. Ale część tego, co wiem, może czy powinno obchodzić nawet tych, którzy go osobiście nie znali. O tym chcę opowiedzieć.

Leopold nie miał tak zwanego szczęścia. To znaczy, nie nie przychodziło mu samo, nie nie przychodziło mu łatwo. Nie należał do tych, którzy urodzili się w czepku ani pod szczęśliwą gwiazdą, żadna dobra wróżka nie zjawiła się u jego kołyski. Los nie miał dla niego specjalnych prezentów.

Powyższe stwierdzenie może zdziwić niejednego. Jak to, czyż nie miał efektownego życiorysu? Przed wojną - studia architektury w Paryżu, podczas wojny - liczne podróże i barwne przygody, po wojnie - elegant, uwodziec, bywalec, literat, znawca jazzu, najpopularniejsza postać kolorowej Polski. Potem Ameryka, tam pisze po angielsku i dochodzi do stanowiska, którego każdy emigrant może mu pozazdrościć. Życie osobiste też mu się w końcu ułożyło, rodzina, dwóch synów. Rosnąca popularność wśród nowych pokoleń, stał się postacią prawie już legendarną.

Sam Leopold przyczynił się do powstania tak skomponowanego obrazu. Dlaczego i w jaki sposób - okaże się w dalszym ciągu. Na razie pozostanmy przy życiorysie i pomyślnym, jaki był początek - chłopiec z bardzo przeciętnej, niezamożnej rodziny w przedwojennej Warszawie. To jeszcze nic takiego, więc dodajmy: z żydowskiej rodziny. Oczywiście, to może dać do myślenia tylko tym z nas, którzy mają pewną wiedzę o tamtych czasach i okolicznościach. Między innymi - o rozwarstwieniu społecznym, majątkowym i kulturowym, wyznaniowym i narodowościowym, czyli o podziale Przeznaczenia na piętra i komórki, z których prawie nie było wyjścia. Leopold urodził się w pułapce, no ale mogło być i bywało gorzej. Ale - i tu zaczyna się jego problem całkiem już osobisty - Leopold przyszedł na świat z wielką ku światu namiętnością, z miłosną energią w każdym tego uczucia wymiarze, zmysłowym, emocjonalnym, intelektualnym. I nie była to miłość, która by chciała pozostać platoniczną. Więc między tym, co było mu dane, a tym, co czuł i czego chciał, widział, wiedział czy sobie wyobrażał - była ogromna różnica, a zatem musiało powstać napięcie.

Studia w Paryżu - to ładnie brzmi. Ale co było poza brzmieniem? Nie wiem, Leopold nigdy o tym nie mówił, ale czy nie dlatego przypadkiem w Paryżu, nie w Warszawie, że był rok 1938 i w Polsce działał już wtedy "numerus clausus", czyli ustawa, że tylko pewna ograniczona ilość Żydów była dopuszczona do studiów wyższych? A nawet, gdyby Leopold znalazł się w tej liczbie, czy nie bezpieczniej w Paryżu, niż w Warszawie, gdzie nieraz studenci czekali rasowo bili studentów rasowo nieczystych pałkami zaopatrzonymi w żyłki? Jedno jest pewne: te Leopoldowe studia w Paryżu nie były takie,



jak niegdyś wojaże Jana Kochanowskiego do Padwy, czy później Bronisława Malinowskiego do London School of Economics. Ani nawet takie, jak wysyłanie do tegoż Paryża czy do Brukseli żydowskich synów z Polski przez ich zamożne rodziny. Jak i za ile żył w Paryżu, co tam naprawdę myślał i czuł, o tym Leopold nigdy nie mówił, ograniczając się tylko do tego, do czego chciał, co było ograniczone: że grał w koszykówkę i oddawał hołd urodzie dziewcząt.

A jego wojenne podróże i przygody... Opowiedział je częściowo i w sobie właściwy sposób jako bohater swoich powieści. Ale z nich wynika to, od czego się wszystko zaczęło i trwało do końca wojny. Mianowicie, że za swoje urodzenie był skazany na śmierć z natychmiastowym wydaniem wyroku. I znowu jedno jest pewne: tych wszystkich barwnych przygód, barwnych w powieści, Leopold - nie jego powieściowy bohater, ale sam Leopold - na pewno wolałby nie mieć. Po wojnie dandys, elegant i ulubieniec - jak wyglądała tego podszewka, on sam ukazał w swoim dzienniku z tamtych lat. A raczej tylko rąbek tej podszewki.

Ameryka wreszcie i tam jego sukces - pamiętam jego pierwsze amerykańskie lata, czyli biedowanie i rozpaczliwą walkę, żeby nie pozostać już na zawsze anonimowym, nie miał o dym już i stał się j a k o s i e lokatorem obskurnego pokoiku u obrzeży Harlemu. Cokolwiek Leopold tam sobie wreszcie wywalczył, nie było to łatwo zdobyte. Bowiem los już na początku tak zapowiedział: Masz tu troszeczkę i nie w najlepszym gatunku, tylko tyle i takie, a teraz radź sobie sam.

A co na to Leopold? W tym cała rzecz, a raczej połowa rzeczy dopiero.

Stosunek losu do Leopolda nie był wyjątkowy, to właśnie wybrańcy losu należą do wyjątków. Wyjątkowa natomiast była reakcja Leopolda. Większość z nas przyjmuje, co dostała, z goryczą rezygnacją i z tego niewiele czyni jeszcze mniej. Ale nie Leopold, który tak odpowiedział losowi:

Ja tych decyzji nie uznaję.

Ja ciebie w ogóle nie uznaję jako mojego zwierzchnika i rozkazodawcę. A co więcej...

Ja ciebie zmuszę, żebyśmy odwrócili role, ja będę twoim panem, a ty moim sługą.

Bardzo więc ambitne oświadczenie. I tak zaczęła się walka Leopolda aż z samym Przeznaczeniem, a raczej Wyznaczeniem, aniołem jego, ponieważ bóstwo rzadko fatyguje się osobistie. Porównanie do biblijnej walki Jakuba z Aniołem byłoby zbyt patetyczne, niemniej mecz odbył się w podobnej kategorii; człowiek przeciwko nadludzkiemu, czyli temu, co warunkuje człowieka. Walka totalna, to znaczy w najdrobniejszych szczegółach i największych ogólnościach i bez chwili wytchnienia. I jak każdy, kto nie jest z losem w harmonii, Leopold bywał w dysharmonii z otoczeniem. W dużych sprawach był imponujący, w małych często drażnił. W zasadniczych sprawach zasięgiwał na podziw, w drobiazgach narażał się na śmieszności wybaczone mu przez przyjaciół, skwapliwie podchwytywane przez wrogów. Drobiazgów z natury rzeczy jest więcej niż spraw zasadniczych i na co dzień są bardziej widoczne.

Walka o wszystko, czego chciał, ze wszystkim co mu było dane, zaczynała się od samej fizyczności. Leopold nie był jedynym brunetem niskiego wzrostu w okularach, o nieskandynawskich rysach i niesmukłej budowie ciała. Ale był jedynym w zasięgu mojej znajomości, który aż tak konsekwentnie wybrał siebie jako wodza Vikingów. *C h o i x e x i s t e n t i e l*, nauka Sartre'a, że jesteśmy tacy, jakimi siebie wybieramy, powinna

znaleźć w Leopoldzie stuprocentowe potwierdzenie. Ponieważ zde-  
tronizował los i sam zajął jego miejsce, musiał wziąć na siebie  
wszystkie jego obowiązki. Dlatego usiłował wyznaczyć i kontro-  
lować wszystkie sytuacje, nawet najbardziej powszednie, te, któ-  
re zazwyczaj toczą się same i do których nie warto się wtrącać.  
Nic nie mogło ująć jego uwadze i jego interwencji. Stąd nieustan-  
na czujność, aktywność i napięcie. A w negatywie - apodyktycz-  
ność, agresja, konflikt. Nie wiem, czy Leopold dał sobie - a tym  
samym swemu otoczeniu - przez całe swoje życie choćby minutę  
wytchnienia, czy zaznał kiedykolwiek spokoju.

Walczyć, nie dać się, nie poddać, ale atakować - to była  
jego zasada, motto, dewiza i więcej nawet, sposób istnienia za-  
kodowany w jego instynkcie i odruchu. Jego mecz z losem, mis-  
trzem świata wagi najcięższej, rozegrał się w trzech rundach.  
Leopold wygrał je wszystkie, jakich przy tym doznając wewnętrz-  
nych obrażeń, on jeden tylko wie, bo nie okazywał ich nigdy,  
przeciwnie, starał się najdokładniej je ukryć zgodnie ze swoim  
kodeksem: "Przed wszystkim fason i styl".

Pierwsza runda - to śmiertelny pojedynek. Zaczęło się od  
tego, że los nie raczył dostrzec Leopolda jako indywidualnego  
zawodnika. Skinał tylko na swego wykonawcę, a było nim całe po-  
zorne państwo niemieckie z Adolfem Hitlerem na czele, polecając,  
aby Leopold zniknął anonimowo w wielomilionowym grobie bez zna-  
ku i pamięci. To Leopold z tego pogardliwego gestu uczynił po-  
jedynek, wyzywając los. Wyszedł bowiem naprzeciw, czyli udał  
się w sam środek, środek aryjsko świętej Tysiącletniej Rzeszy  
Niemieckiej, gdzie sama jego fizyczna obecność była desakrali-  
zacją ubermenschowskiej świątyni, a jego życie kpina z nazisto-  
skiego Prawa i Organizacji. Z nieautentycznie autentycznością  
- podawał się za Francuza, wykonując rozmaite zawody, których  
nigdy się przedtem nie uczył, był między innymi kelnerem, ro-  
botnikiem, marynarzem - Leopold zwyciężał Trzecią Rzeszę w  
każdym momencie, który udało mu się przeżyć, nie tylko samym  
faktem, ale i sposobem przeżycia. Tym mianowicie, że nie tylko  
nie dał się zabić, ale także nie pozwolił się zgnoić, to znaczy  
zepchnąć poniżej tego poziomu człowieczeństwa, poniżej którego  
spychała ludzi Potęga, dekretując, że zanim nadąży maszyna do  
zabijania, powinni być tylko materiałem na trupa.

Tego rodzaju zwycięstwo wymagało czegoś więcej niż tylko  
przedsiębiorczości i sprawnej inteligencji. Leopold nigdy nie  
wspominał o strachu. Być może to przemilczenie należało kiedyś  
do jego strategii przeżycia, bo przecież strach może być sil-  
niejszy od instynktu i woli życia, trudniejszy do zniesienia  
niż pewność śmierci; w pewnych warunkach śmierć jest łatwiej-  
szą alternatywą niż strach. Być może musiał sobie odmówić pra-  
wa do strachu; żeby zwyciężać śmierć musiał nieustannie przez-  
wycieć strach, który jak wiadomo jest uczuciem paraliżującym.  
psychikę i władze umysłowe człowieka, te właśnie, których Leo-  
pold potrzebował najbardziej i nieustannie jako instrumentów  
przeżycia. A przecież strach musiał być z nim też nieustannie,  
ponieważ był nieodłączny od jego sytuacji, więcej - był jego  
sytuacją. Jak sobie Leopold radził z tym paradoksem - żyć w sy-  
tuacji akceptując ją i negując jednocześnie, o tym nie ma śladu  
ani w jego literaturze, ani w jego wypowiedziach. Może właśnie  
aż taka "nieszczerość", aż takie skonstruowanie sobie nieauten-  
tycznej autentyczności nie tylko przed innymi, ale i dla samego  
wypracowana schizofrenia - było konieczne. Takie przypuszczenie  
jednak nie wyjaśnia z punktu widzenia logiki, bo wyjaś-  
niać jeden paradoks: jednoczesne przyjmowanie i odrzucanie sy-  
tuacji - drugim paradoksem: byciem i niebyciem sobą jednocze-  
śnie, to nie jest żadne wyjaśnienie. A w ogóle paradoksu nie da



się wyjaśnić logicznie, na tym polega właśnie paradoks. Niech ta teoretyczna niemożliwość będzie miarą trudności, jaką Leopold musiał pokonać w praktyce. Tym samym niech usprawiedliwi nieco Leopolda przed tymi, którzy przede wszystkim pamiętają jego "nieautentyczność", przekraczającą niekiedy granice manier, a czasami wręcz maniacką. Śmiertelna gimnastyka, jaką musiał uprawiać przez pięć bardzo długich lat, chyba nikomu nie mogła się udać bez trwałych zwichnięć.

Tym bardziej, że musiał ją uprawiać w absolutnej samotności. Czytając powieści czy dokumenty o tajnych agentach, podziwiamy ich odwagę i wytrwałość w samotności pełnej niebezpieczeństw. Ale oni nigdy przecież nie są naprawdę sami. Stoi za nimi cała potęga macierzystego państwa, kieruje nimi i pomaga najbardziej wyspecjalizowana organizacja, a w niebezpieczeństwie znaleźli się dobrowolnie. Wyobraźmy sobie kogoś, kto jest tylko swoim własnym agentem, za którym nie stoi nikt i nic, człowieka, o którego prawdziwym istnieniu nikt nie wie, a nawet on sam musi je przed sobą ukrywać. To jest dopiero samotność, wielu wolało umrzeć niż jej zaznać. Zdarzało się przecież, że ludzie, którzy mogli się uratować, uciekając od wspólnoty i ukrywając się w pojedynkę, wybierali raczej śmierć ze swoimi, wśród swoich, niż próbę ocalenia za cenę takiej samotności.

Tyle więc o zwycięstwie Leopolda nad Trzecią Rzeszą. Nie wspominam o nim oficjalna historia drugiej wojny światowej, ale moim zdaniem Leopold powinien się znaleźć na wspólnej fotografii z marszałkiem Montgomery, zwycięzcą spod El Alamein. Zwycięstwo Leopolda było prawdziwie innego rodzaju, ale po ludzku znacznie trudniejsze.

Druga natomiast runda Leopolda z losem wyniknęła nie z przeciwności losu, który przegrawszy pierwszą, machnął jakby ręką, ale już z wyliczanej inicjatywy Leopolda. Mam na myśli lata powojenne w Polsce. W zasadzie los ogłosił *d e s i n t e r e s e m e n t*, a nawet nie zabronił, żeby przed Leopoldem otworzyły się pewne ogólne perspektywy, z których Leopold mógł skorzystać indywidualnie. Leopold nie należał do żadnej z tych społecznych kategorii, które przez komunistyczną Polskę były z góry skazane. Nie pochodził z ziemiańskiej szlachty, kupiectwa, inteligencji wolnych zawodów, miał pełne prawo nie być nawet katolikiem. Nie miał tak zwanej "przeszłości", ani żadnych haczyków w życiorysie. Był młody, do stracenia nie miał już nic, a wszystko do zyskania. Mógł należeć do tych, którym "Polska Ludowa dała", a w jego wypadku mogła dać bardzo wiele. Jako literat i dziennikarz należał do grupy, którą Władza upatrzyła sobie na szczególnego kontrahenta i miała dla niej w zanadrzu szczególne przywileje. Po wojnie rozległa się w Polsce wielka oferta, wielka i szeroka propozycja, wielkie zaproszenie do kolaboracji. Kto nie był przez Władzę z góry skreślony i skazany na fizyczne zniszczenie albo gnoj - ten mógł z tej oferty skorzystać. Wielu i z różnych powodów skorzystało. Tym bardziej, że odrzucenie oferty automatycznie oznaczało przeniesienie do kategorii "wroga". Zaproszenie wcale nie było w burzliwym stylu: "Miło nam będzie, jeśli Pan skorzysta, ale jeśli nie będzie Pan w stanie, to żałujemy, przepraszamy, dziękujemy i pozostajemy z szacunkiem"; tylko: "Albo skorzystacie, albo zgoiny".

W pierwszych latach, kiedy do spustoszonej przez wojnę Polski komunistyczne meble wnoszono ze wschodu i komplecik nie był jeszcze gotowy, można było jeszcze udawać przed sobą neutralnego lokatora. Po wojnie ludzie chcą znowu być jak ludzie, to znaczy odbudowywać wszystko, co zostało zniszczone, a w Polsce zostało zniszczone wszystko, od zagłady państwa polskiego w 1939 roku poczynając. Po wojnie komuniści od razu mieli mono-

pol na odbudowę państwa, a potem już całej reszty. Wkrótce już udawać, że oni to nie oni, a z nimi to nie z nimi, nie było możliwe inaczej jak poprzez samozakłamanie. A jednak jakoś odbudowywać życie było trzeba. Zaczął się kolejny polski dylemat.

Leopold propozycji nie przyjął. Z miejsca od razu i nieodwołalnie. Mówiąc przedtem o wyjątkowej postawie Leopolda wobec losu powiedziałem: "To tylko połowa całej sprawy", czyli wyjątkowości Leopolda. Teraz kolej na drugą połowę i dopełnienie.

Tych, którzy sami sięgają po to, czego las im dać nie chce, jest wprawdzie znacznie mniej niż pokornych, ale jednak jest ich paru; pod tym względem Leopold nie był całkiem wyjątkowy. Jego wyjątkowa wyjątkowość polegała na czym innym. Ktoś, kto walczy ze wszystkimi o wszystko, czego nie ma, ale bardzo chciał, by mieć, zazwyczaj wolny jest od skrupułów. Jestem poszkodowany, niedoinwestowany przez los, wobec tego należy mi się rekompensata. Rewanż i sukces jest wtedy jedyną miarą. Kiedy uważam, że los jest niesprawiedliwy wobec mnie, wszystkie środki w moim interesie są dobre w imię Sprawiedliwości utożsamionej z moim interesem.

Ambicje, apetyty i pożądania Leopolda były duże i to w każdej dziedzinie. Zaspokojenie, mierzone ich wielkością i rozmaitością, do owej pory żadne. Oto przychodzi czas, kiedy mu los powiada ustami komunistów: proszę bardzo. Teraz już nie ma żadnych przeszkód. My panu damy wszystkie możliwości, a w zamian - drobnostka. Niech pan tylko powie, że pan nas lubi.

A Leopold powiedział, że nie lubi.

Gdyby Leopold był ascetą i niczego od życia nie chciał, wszystko by się zgadzało. A tak - nie zgadzało się nic. Więc los, zdenerwowany taką niezgodnością, znowu ruszył przeciwko Leopoldowi, ale tym razem przez niego sprowokowany. Trzeba przyznać, że los nie mógł inaczej postąpić, jeżeli chciał zachować konsekwencję. Ten Leopold najpierw mówi, że chce, a kiedy mu proponują, mówi, że nie chce. Że chciałby, owszem, ale nie na tym talerzu. On z tego talerza jeść się brzydzi? On się brzydzi, a inni się nie brzydzą! A nawet jeżeli się i brzydzą to i tak jedzą. To inni mogą, a on nie może? Więc niech za karę pozostanie głodny i w dodatku pójdzie do kąt.

Powyzsze metafory są jednak zbyt pieszczotliwe, gdy chodzi o dolę kogoś, kto w Polsce Stalinowskiej tej Polsce się sprzeciwił. Zaś Leopold sprzeciwił się od początku, z uporem i konsekwentnie. Przedtem grał o życie i wygrał, teraz chciał wygrać grę w życie, ale nie chciał grać według narzuconym mu reguł, które uważał za podłe, głupie zbrodnicze i w ogóle nie do przyjęcia. Bowiem Leopold uważał komunizm za największe zło, z którym nie może być kompromisu.

Jego przekonania weszły więc w konflikt z jego pożądaniami i jakkolwiek silne było to pożądanie, a było bardzo silne, dał pierwszeństwo przekonaniom. Może dlatego, że to nie były przekonania tylko, ale jego osobisty kodeks honorowy. Przekonania ostatecznie ma każdy, ale nie każdy ujmuje je w osobisty kodeks. Przekonania to jest coś ogólnego i płynnego, zaś kodeks to jest sztywna litera Prawa. Swoimi przekonaniami można manipulować, ale kodeks jest bezlitosny.

Leopold był człowiekiem namiętności, ale jednocześnie był człowiekiem Prawa. Namiętności miał takie jak wszyscy. Prawo miał swoje własne. Był to kodeks skomponowany przez niego zarówno z Praw objawionych na Górze Synaj, jak z reguł moralnych klasycznego, amerykańskiego Westernu. Z "Rozważań o demokracji" Tocqueville'a, jak i sposobów bycia a la Humphrey Bogart. A nawet z norm elegancji męskiej "English Style" reprezentowanym przez Edwarda, księcia Windsoru. A więc o rozmaitych głębiach



i zakresach, z czego wynikała zarówno czystość jego życiorysu, jego nieugiętość w sprawach zasadniczej wagi, jak i jego uciążliwość, gdy kazał mi jesc ser taki, a nie inny, czy nosic taki a nie inny krawat. Leopold bowiem wyrokował zawsze i wszędzie, i zawsze według jakichś reguł, które uznawszy za swoje, uznawał je tym samym za uniwersalnie obowiązujące. Ale z tego heterogenicznego materiału stworzył własną całość i porządek, czyli priorytety. Dowód - jego życie, porządek jego życia. Kochał krawaty i samochody, ale rozstrzygał ostro, kiedy musiał wybierać między tym, co dla siebie lubił i uważał za ważne, a tym, co w sobie szanował, a więc uważał za jeszcze ważniejsze.

Nie bez żalu i nie bez cierpienia, nie bez świadomości wyrzeczeń, ponieważ, jak wiemy, był właśnie i też człowiekiem apetytów, ambicji i pożądań. I nie bez oporu, jeżeli kosztą oporu nie obciążały jego zasad. Zgodnie ze swoją dewizą: "Przed wszystkim fason i styl", gdy nie miał co jesc, grał w tenisa. W tym upatrywano tylko snobizm, ale to było też i formą oporu. Powtórzyła się historia jedy pierwszej rundy z losem: "Nie tylko, ale..." - Leopold nie tylko nie zdradził swoich przekonań, ale i nie pozwolił się zgnoić za odmowę zdrady. Bardzo to niektórych irytowało.

W pewnym okresie było modne w Warszawie podśmiewać się z Lola. Było to już po Stalinie, kiedy można było trochę odetchnąć i z tej okazji życie towarzyskie stolicy przeżywało nad politycznym. Kiedy zapanało: raczej zapomnijmy i bawmy się. Wczesny Gomułka i nasza "mała stabilizacja", to lekko ironiczne określenie, które zawdzięczamy Tadeuszowi Różewiczowi, doskonale oddające nastrój chwili. Pierwsze dacie i kuligi. "Przekrój" - najpopularniejszy tygodnik. Można już było napisać coś, co wprowadzi nie mogło być antysocjalistyczne, ale nie musiało być hymnem na cześć Partii. Otworzył się margines i Leopold napisał powieść "Zły", epicką balladę o współczesnej Warszawie. Ale nie tylko.

Jeszcze przed "małą stabilizacją", korzystając z październikowego zamieszania, kiedy cenzura w Polsce straciła głowę - to jest charakterystyczne dla totalnych systemów, że kiedy zachwiane są "podstawy", albo wydaje się, że bodaj są zachwiane, wszystko od razu chwile się i sypie, dopóki drobniac w aparacie nie nabierze znowu pewności, że interes jest od góry solidnie prowadzony - opublikował Leopold analizę najciemniejszej polskiej sprawy, dotąd nie ruszanej - sprawy Piaseckiego i jego Stowarzyszenia Pax. A nie ruszanej, bo najbardziej niebezpiecznej dla każdego, kto by ją chciał ruszyć. Można było wtedy, przez chwilę, pisać krytycznie nawet o UB, ale tropienie Piaseckiego prowadziło w jeszcze groźniejsze rejony, o których bezpieczniejsz milczeć. Leopold napisał z niezwykłą odwagą, dając jednocześnie dowód, jak świetnym byłby polskim dziennikarzem, gdyby jego talent mógł się objawic inaczej niż tylko sporadycznie. O tym przypominam, ponieważ pamięta się "Złego", ale mało kto pamięta artykuł o Piaseckim.

"Zły" stał się od razu fenomenalnym sukcesem czytelniczym, przełożono go też na liczne języki. Leopold nie musiał się już martwić, że kolumnierzyk ostatniej koszuli rozleci się przy następnym praniu pod zlewem i wszyscy to zobaczą. Ale już mieliśmy naszą "małą stabilizację" i towarzystwo tymczasem się wycwaniło. Pierwsze czołówki elity runęły na Zachód i z powrotem, co wyraziło się podniesieniem krawiecko-intelektualnego poziomu.

W Warszawie, Paryżu Północy, kwiat elity rozkwitł cudnie. Wiele już było samochodów, niektóre piękne, chodziły nawet legendy, że jeden Młody Zbuntowany przywiózł Porsha. A jednak najbardziej się chyba mówiło o używanym Oplu-Kapitanie Leopolda. Ale z odcieniem ironii.

Podśmiewać się z Lolo - nic łatwiejszego. Lolo sam się podkładał, teraz jego styl nie był już formą ideologicznego oporu, był sam w sobie, w wolnej konkurencji o różne palmy pierwszeństwa w kategorii szyku, elegancji i tym podobnych wartości tego mini-konsumpcyjnego mikro-społeczeństwa. Leopold był przesadny; dyskrekcja, lekkość i umiar nigdy nie były jego zaletami, choć ideałem jego był właśnie zmitologizowany "gentleman". Ale było w tej modzie na ironiczność wobec Lolo coś, co mi nie pasowało, coś pod spodem, jakiś brzydki chrząszcz brzmiący w tej trzcinie. Może to właśnie: prawie wszyscy w tym środowisku tak czy inaczej, tędy czy owędy, trochę czy mocno, chętnie czy niechętnie, prędzej czy później, ale zawsze jakoś, któregoś i do jakiegoś stopnia - tu użyję innego słownika - dali dupy. A Leopold nigdy nie dał ani trochę i to musiało denerwować. Nie dał, no to wybaczyć można, ale to, że nie dał, a mimo wszystko chodzi i żyje, a nie gnije? Więc można było nie dać i nie zgnić? To psuło wymówkę wszystkim. "Panie, ja musiałem, bo inaczej..." A tu tymczasem Lolo w Oplu jak gdyby nigdy nic. Non-szalancki Lolo.

Tym bardziej, że Lolo nie ukrywał, że nie dał i nigdy nie zapomniał tym, co dali. Był jednym z "dziesięciu sprawiedliwych", no dobrze, ale po co o tym stale mówić i dlaczego innym wypomina, że nie byli? Leopold nie miał chrześcijańskich cnót: pokory i wybaczenia. Co gorsza, nie był "psychologicznie ciekawy". Co jest ciekawego w człowieku, który mówi jasno "nie" i postępuje konsekwentnie? Co innego ciemności, podwójności i potrójności, dramaty wiary i rozczarowań, grzechy i pokuty, zagadki duszy, metafizyki bytu, tak, to jest piękne i ciekawe, tu można się powołać na Dostojewskiego, a nawet zniżając głos znacząco dawać do zrozumienia że stepową tęsknicą i boleścią: ja jestem sam Fiodor D. Ale Lolo? To nie był artystyczny poziom.

Trzecia runda Leopolda z losem rozegrała się również z inicjatywą Leopolda i na tych samych co poprzednia zasadach. Kiedy ruszył na emigrację, wcale nie musiało mu być na początku tak ciężko, jak mu było. Wczesne lata sześćdziesiąte i Ameryka przeżywa swoją rewolucję. Przybysze witani są z otwartymi ramionami, jeżeli przyjmują zaproszenie do tańca. Ach, znowu zaproszenie. Dostępczość, więc przede wszystkim dostępczość antykomunizmu. Leopold ze swoim antykomunizmem wybrał się najgorzej jak tylko mógł.

Niechby go chociaż przebrał za "anty-autorytety-taryzm", taki ogólny i w ogóle, za "walkę i instytucjami" jakąś ogólną, chociażby za anarchię. To było takie łatwe, niczego innego nie żądano. Wystarczyło oznajmić: "U was jest tak samo jak u nas, ponieważ też jest rząd, administracja, policja, banki i bilety do kina". Rybyby jeszcze lepiej, gdyby ogłosił, że jest "Czarna Pantera" /choć białą/, no, ale to nie było konieczne. Wystarczyło być młodsze postępowym, czyli młodsze antykapitalistycznym, a wtedy otwierały się uniwersytety i salony, Fundacje i Redakcje, najlepsze sfery, czyli krótko mówiąc, kariery. Robiono je szybko i nieraz oszałamiające. A kiedy się było przybysem ze Wschodu i chciało się grać w tę grę - miało się wtedy dodatkową szansę: człowieka, który jest "stamtąd", a jednak "swoją", który potwierdza, że się nie mylimy i mamy ogólnosiątkową słuszność. Także paru naszych rodaków zagrało, z nieuniknionym powodzeniem, na tym numerze.

Ale nie Leopold. Nie tylko nie, ale wprost odwrotnie, i krzyczał z całych sił, że nie i że odwrotnie. Tylko, że na początku mógł sobie krzyczeć do ścian w tym jego obskurnym pokoiku. Nie doszedł jeszcze do głosu i nic wtedy nie wskazywało, że kiedykolwiek dojdzie. Chciał oczywiście dojść, po to tam po-



jechał, ale to, co chciał powiedzieć, wykrzyczeć, wybluzgać, to właśnie mu szkodziło i skazywało na ścianę. Myślę, że w pewnym sensie te jego pierwsze amerykańskie lata były dla niego cięższe niż lata w Polsce Stalinowskiej. W sensie: "znowu tak samo". Więc znowu biedny pokój i całe mienie w walizce /ale wtedy to było po wojnie i w zburzonej, rodzinnej Warszawie, a teraz po latach i w Nowym Jorku/. Znowu niemowa /tam mówić zabroniono, ale posłuchaliby wszyscy, tutaj mówić wolno, ale nikt nawet słuchać nie chce/. Znowu wszystko od zera /ale wtedy wszyscy zaczynali od zera i wtedy miał dwadzieścia kilka lat, a teraz pięćdziesiątkę na karku/.

A jednak wygrał. I umarł.

Śmierć była nagła, bez przygotowania, bez choroby i agonii. Umarł jakby rażony kulą w serce. Tak, jak umierali szeryfowie w starych, dobrych, amerykańskich Westernach. Być może podobałoby mu się to porównanie.

Sławomir MROŻEK

---

#### DOKOŃCZENIE ZE STR. 22

Kultury i Sztuki w stolicy - i postawił na swoim dzięki własnej konfiguracji politycznej. Książka rozeszła się w ciągu trzech dni. Po latach znalazłem w Izraelu poniszczone, zaczytane antykwaryczne egzemplarze tego wydania "Filipa", które natychmiast odkupiłem. Książka jest białym krukiem, kursujących egzemplarzy jest niewiele, utraciła niejako materialnie swój byt.

●Czym jest dla pana ta powieść?

Uważam "Filipa" za swoją najlepszą książkę. I stała się ona pewnym manifestem pokoleniowym. Mam do dziś listy ludzi, którzy teraz pewnie mają po czterdzieści kilka i więcej lat, i pisali mi wtedy, że widzieli w niej przepis na postawę oporu w totalitaryzmie. Otóż "Filip" opisuje młodego człowieka w wojennych Niemczech, który chce się mścić, ale nie ma żadnych możliwości podjęcia otwartej akcji politycznej. Wobec tego, że nie wolno mu spać z Niemkami, robi to intensywnie, ryzykując za każdym razem życiem. Aż do czasu, kiedy poznaje dziewczynę, w której się zakochuje. Miłość uniemożliwia mu rozgrywkę z losem i politycznym uciskiem. Fakt, że w społeczeństwie zamkniętym, totalitarnym można walczyć z systemem bronią życiowego detalu - znałabym jakoś zrozumienie u polskiego czytelnika. ●

## ... o życiu godnym

Mowa pośmiertna wygłoszona przez pastora Richarda NEUHAUSA, szefa Centrum Badania Religii i Społeczeństwa przy Rockford Institute, podczas mszy w intencji Leopolda Tyrmanda w Nowym Jorku 22.03.1985

Czuję się zaszczycony zaproszeniem do wzięcia udziału w spotkaniu poświęconym pamięci naszego przyjaciela i kolegi Leopolda Tyrmanda. Są wśród nas tacy, którzy znali go dłużej i lepiej niż ja, ale w ciągu ostatnich kilku lat poznałem go na tyle dobrze, że nie zdziwiła mnie uwaga dziennikarza, który dowiedziawszy się o śmierci Leopolda powiedział: "Do chwili kiedy spotkałem Leopolda Tyrmanda nie wyobrażałem sobie nawet istnienia takiej umysłowości".

Był potężnym umysłem, był więcej niż tylko umysłem. Idee i słowa były jego formą i środkiem wyrazu, ale jego dewizą było po prostu - żyć dobrze. W przyszłym miesiącu miną dwa lata, kiedy przemawiając w Towarzystwie Filadelfijskim, Leopold zapowiedział w swoim niepowtarzalnym stylu, katastrofę tego, co uparczywie nazywał "kulturą liberalną" i zadał nieuniknione pytanie: "Co czynić?". "Moją odpowiedzią byłoby: odkurzyć receptę na godne życie". Jak żyć godnie - było to to, czego Leopold szukał, aby zrozumieć, w imię czego chciał się porozumieć, czego chciał być przykładem.

Życie Leopolda było znaczone realizacją wizji moralnej i kaprysem, sardonicznym humorem i buntem. Dbał o innych i cierpiał, że dbali tak mało o siebie, o to co robili. W totalitaryzmie nazistowskim, potem sowieckim, przekonał się jak kruche są podstawy godnego życia. Żyjąc na bocznych torze życia, rozumiał, co znaczy jego główny nurt. Cierpiał widząc jak kultura, miast konsekwentnie się rozwijać czerpie młodzieńczą rozkosz ze swego upadku.

Bunt Leopolda był tłumiony przez tych, którzy stanowili centrum jego życia. Przede wszystkim Mary Ellen i małżeństwo, które raz opisał, parafrazując Apostoła Pawła, jako dar dla urodzonego poza czasem. I dzieci - John Howard mówi mi, że każdy nowy wyczyn dzieci był dla Leopolda pierwszą wiadomością dnia. Jeśli Rebeka zrobiła jakiś dramatyczny gest, był absolutnie pewien, że jest ona wyrastającą Sarą Bernhardt. Mateusza atletyczny skok z sofy był pewnym znakiem jego przyszłej sławy mistrza olimpijskiego. Dla dzieci, przede wszystkim, Leopold nie żył tak długo jak powinien. Ale możemy wierzyć, że strzeże ich nadal i doczeka spełnienia tego ogromu nadziei, jaki w nie zainwestował. I, co im matka niewątpliwie zapewni, nigdy nie zapomną, że pozostawił im spadek większy od ziemskiego bogactwa - świadomość ojca, który pragnął żyć godnie.



W centrum życia Leopolda była także przyjaźń. Znam tylko w małej części, trudy jakie John Howard i inni dzielili z Leopoldem w Rockford Institute. Plany i marzenia, rozczarowania i tryumfy, w tym momencie możecie przywołać w pamięci piękne czasy zgody i gorzki czas niezgody, jest to wszystko tym, co składa się na godne życie, które mieliście wspaniale dzielić, ja w małej części z wami. Wydaje mi się, że dla Leopolda przyjaźń była mniej sprawą sentymentu a bardziej koleżeństwem. Nikt nigdy nie stwierdził, że Leopold jest najłatwiejszym w świecie człowiekiem we współpracy. Był rzeźcą prawdę niewielu ludzi znajdowało Leopolda nadmiernie skromnym. Lecz w głębi swej istoty był bardziej skromny niż w zachowaniu. Skromność Leopolda wyrażała się w determinacji z jaką służył Wielkiej Sprawie. Nie jest to objawem jego nieskromności, ale poświęcenia- jak sam to powiedział - rekonstrukcji zachodniej kultury.

Kultura, Wolność, Wiara były to trzy punkty jego życiowego credo i rozumienia godnego życia. Kultura nie może istnieć poza Wolnością i ani Kultura ani Wolność nie mogą przetrwać nie będąc podtrzymywane przez Wiarę. Kultura - powiedział Leopold - jest "jakością życia". Inaczej, cytuję polskiego pisarza jego generacji, "cywilizacja jest widelcem, nożem i łyżką. Kultura to jak ich używać". Kultura jest stylem, a Leopold był zdeterminowany by żyć w stylu. Nie w stylu efemerycznej stylizacji, ale w stylu wzniosłego życia tak jakby miało trwać ciągle. I wymagana wolność, daleka od swawoli, jest Wolnością wiążącą jednostkę z normami. W języku Leopolda "normalny" to nie był brzydki wyraz. Zarówno w jazzie, w literaturze, w przyjaźni, w małżeństwie jedynie świadomość kanonu normalności może zilustrować zadziwiającą różnorodność dającą blask i drżenie wiekiej Kultury. Było to przedmiotem stałego rozgoryczenia Leopolda, że tyłu konserwatystów, którzy także pragnęli bronić norm jest tak tępych, tak ewidentnie pozbawionych zdolności zdziwienia. Dla Leopolda, konserwatyzm był wielką przygodą.

Kultura, Wolność, Wiara. Leopold czytał, pisał i mówił o tradycji judeochrześcijańskiej, jako niezastąpionym fundamencie kultury, którą miłował i której pragnął służyć. W samej treści był, w moim przekonaniu, powściągliwy. Ale on sam deklarował pewność, że jesteśmy odbiciem transcendentnej prawdy, prawdy, która jest poza i ponad nami. Wierzył, że ostatecznie prawda jest zarówno sprawiedliwa jak i miłosierna. Powiedział, że istnieje "zadoszczynienie" w naturze rzeczy. W tej wierze zaoferował nam siebie ze swoją pracą. Leopold podsumował przemówienie wygłoszone w 1982 roku pytając, czy osiągniemy kulturową rekonstrukcję, nad którą pracował. Odpowiedział: "Jak amerykański filozof, do którego mam największe zaufanie, Fats Waller zwykł był mówić: «Nigdy nic nie wiadomo, nieprawdaż?»".

Teraz ziemskie kroniki Leopolda zdają się być zamknięte, a my możemy wyrazić nadzieję, że on jednak w i e, że nie trudził się na próżno. My, jego rodzina, przyjaciele, kole-dzy, polecając go opiece sprawiedliwego i miłosiernego Boga, oddajemy się godnemu życiu, które on chciał uosabiać, życiu Kultury, Wolności i Wiary.



# Libero

PISMO LIBERAŁÓW WARSZAWA

## Od redakcji:

Nie zaczynamy od pompacyjnych wstępniaków, wyjaśniających po co wydajemy pismo. Inteligentny Czytelnik sam to wie - a inni nas nie interesują. Samodzielność redakcji jest również wyraźna.

Zamiast tego prezentujemy tekst z 1979 r., który miał ukazać się w "ALTERNATYWACH" - a potem został zapomniany. Realizujemy tym samym hasło: "Sięgać do ukrytych rezerw!". Przed nami sięgała już inna instytucja - ta rezerwa była na szczęście dobrze ukryta.

## Kto z nami - kto przeciwko nam ?

Po opublikowaniu PROGRAMU LIBERAŁÓW naturalnym jest zastanowienie się, gdzie znajdować się mogą potencjalni jego zwolennicy. Nie ma w tym nic z marksistowskiego determinizmu klasowego /zdajemy sobie świetnie sprawę, że spiritus flat ubi vult/ ale w pewnych środowiskach zwolenników naszego PROGRAMU będzie więcej - a w pewnych mniej. Przyjrzyjmy się bliżej temu układowi.

Z nami będą uczeni świadomi, iż swe stanowisko zawdzięczają wysokiej opinii o ich zdolnościach umysłowych i wiedzy. Nie wszyscy jednak: znaczna część może mieć odmienne poglądy polityczne!

Przeciwko nam będą absolutnie wszyscy pracownicy nauki świadomi /lub nieświadomi/, że opinia o ich wysokich kwalifikacjach opiera się na zajmowanym przez nich stanowisku.

Z nami będą księża wierzący w swobodę szukania przez człowieka drogi do Boga, ufający w wewnętrzne dobro jednostki. Innymi słowy: Kościół Prymasów Polski.

Przeciw nam będą księża traktujący wiernych jak owce, o które dbać trzeba, choćby wbrew ich /spaczonej.../ woli. Księża wierzący w skuteczność państwowej zachęty ku wierze a także



księża niepomni czasów Inkwizycji, domagający się - jak w Ameryce Łacińskiej - użycia przemocy dla walki o ideały - choćby miało to za sobą pociągnąć chwilową "mniejszą niesprawiedliwość".

Z nami będą farmerzy, gotowi do wyrzeczeń dla godziwego zysku, który reszcie narodu da przy okazji chleb i mięso. Z nami będą również tradycyjnie nastawieni chłopci, pragnący gospodarzyć na swojej ziemi, bez ciągłego nadzoru państwa. Ci ostatni jednak w większości zapewne opowiedzą się za tradycyjnym programem ludowym lub chadeckim.

Przeciwko nam będą chłopci patrzący nie tego, by ich gospodarka kwitła - lecz by jego sąsiadowi nie powodziło się aby lepiej. Gotowi się poniżać całe życie, byle innych poniżano mocniej. Myślący z ulgą o dniu, kiedy swą ślę prowadzoną gospodarkę /nie mamy na myśli tych, którym już wiek nie pozwala na właściwą pracę/ oddadzą w zamian za ochłap emerytury.

Z nami będą intelektualści myślący bez przesądów, trzeźwo i racjonalnie. Z nami też będą oczywiście liberaliści doktrynalni - a będzie to sojusznik kłopotliwy.

Przeciwko nam będą romantycy tysiaca innych doktryn politycznych i społecznych, mierzący wyjątkowo siły na zamiary oraz wierzący nie tyle w człowieka co w potęgę swojej idei - tym groźniejsi, im bardziej ich myśl bliska jest rzeczywistości. Upadek Hitlera właśnie dlatego był wielki, że na początku odnosił sukcesy...

Z nami będą robotnicy chcący wzbogacić się solidną pracą własnych rąk. Ludzie niezależni, gotowi otwarcie powiedzieć, co im się w fabryce nie podoba - a jeśli nie odniesie to skutku gotowi splunąć za siebie i znaleźć sobie lepszy warsztat pracy - pragnący jedynie, by nie ściągano ich wszędzie oko i ręka jakiegos koncernu, np. pod nazwą Przemysł Polski Ludowej i S-ka. Chcący pracować w miarę swych sił i chęci - i żądający, by jeśli zdecydują się pracować ciężko i efektywnie mogli osiągać takie zarobki, jakie mają ich koledzy na Zachodzie Europy.

Przeciwko nam będą robotnicy gotowi bronić zasady "Czy się stoi, czy się leży". Nie mówiący nigdy "Mnie się to nie podoba" lecz: "Nasza załoga żąda..." i za plecami innych nawołujący do strajku, ba! Domagający się, by strajkowali nawet ci, którzy ich niezadowolona nie podziela! Gotowi ograbić swego brata-robotnika przez wprowadzenie "urawniłowki" /od razu przestają wtedy pracować i biorą się za "utrawianie naszego zwiastwa"/; ograbić swego brata-Polaka przez stawianie nierealnych żądań ekonomicznych. To jest nasz wróg nieprzejednany ale wśród praktykujących to dziś wielu jest takich, którzy robią to z rozpaczą, nie widząc w warunkach monopolu państwowego skuteczniejszych środków walki; w normalnej sytuacji zapewne postępowaliby inaczej.

Z nami będą rzemieślnicy, chcący swą pomysłowością i sztuką swych rąk dorobić się pieniędzy i poważania.

Przeciwko nam będą rzemieślnicy gotowi godzić się na ograniczenia ich pracy - byle nie dopuszczano innych do konkurencji. Gotowi zdzierać z konsumenta i zyskiem dzielić się z państwem /podatki - coż, że niesprawiedliwe, skoro ja klientów jeszcze bardziej wyżyłuję.../ i jego urzędnikami /w formie zapówki za udzielenie koncesji jemu - ale już nie konkurentowi, co zmusiłoby go do obniżenia cen/.

Z nami będą artyści, pragnący by ich sztuka służyła ludziom i godzący się żyć z tego, co im za ich dzieła zapłaca.

Przeciwko nam będą zwolennicy hasła "Sztuka dla sztuki" -nie wszyscy, oczywiście, lecz tylko domagający się, by im za to sztuki uprawianie dawano stypendia i formalne przywileje. By - na przykład - prawo wystawiania dzieł mieli tylko członkowie Związ-

ku Plastyków /w trosce, a jakże, o poziom wystaw.../.

Z nami będą urzędnicy nie lubiący stylu, w jakim muszą wykonywać swe obowiązki. Urzędnicy pragnący służyć Prawu - i ludziom w ramach tegoż Prawa: pamiętający, że słowo "minister" oznacza służący!..

Przeciwko nam będą urzędnicy, którzy polubili już system rządowej kariery, a stanowisko swe traktują jako możność okazania swej władzy nad interesantem. Opluwający prywatnie wszystkich i wszystko - ale bez protestu godzący się ze złem, gdy pochodzi od zwierzchnika czy choćby dobrze ustawionego kolegi. Także, oczywiście, wykorzystujący swe stanowisko do wzbogacenia się na łapówkach. Popełniający drobne szwindle i znoszący niezliczone poniżenia - ale uporczywie wiszący u państwowej klamki.

Z nami będą oficerowie traktujący swój zawód jako służbę dla dobra i bezpieczeństwa Ojczyzny. Z nami będą żołnierze, traktujący służbę w wojsku, jako męską przygodę i okazję do sprawdzenia się wśród rówieśników. Z nami będą ci, którzy wojnę traktują jako grę - grę o najwyższą stawkę.

Przeciwko nam będą oficerowie, którzy wybrali służbę w wojsku z uwagi na różne drobne przywileje. Ci, którzy w walce odruchowo stają po stronie silniejszego i dziwią się tylko - rozprawiając o walce o pokój - że socjalizm dotąd nie zwyciężył, choć przecież powinien! Przeciwko nam będą też zapewne żołnierze, którzy służbę wojskową mają w nosie, najchętniej leżeliby brzuchem do góry i marzyli, że o naszą wolność będą walczyć... Właśnie, kto? Amerykanie? Chińczycy? Niemcy? Może Ukraińcy?

Z nami będą milicjanci pragnący służyć Prawu - i dbający, by każdy mógł korzystać ze swobód, jakie mu to prawo gwarantuje; gotowi szybko i zdecydowanie wkroczyć, gdy ktoś te swobody lub prawo narusza - czy będzie to mierny złodziejaszek czy syn prezydenta!

Przeciwko nam będą milicjanci gotowi za rzucane przez państwo ochłapy wykonywać bezprawne rozkazy, ba! - lubiący nawet stan bezprawia, pozwalający im na najniższym szczeblu być tego prawa interpretatorem i nawet twórcą! Nie wierzący, że człowiek bez udowodnionej winy powinien być traktowany jak niewinny, za to wierzący w "prewencję" /łatwiej raz w miesiącu obejść znane meliny niż łapać bandziora na gorącym uczynku.../

Z nami będą młodzi, lubiący swobodę, wolność i ryzyko.

Przeciwko nam będą ci, co godzą się, by na uczelnie przychodzili na wywiadówki rodzice, by załatwiano im studia i posady...

Z nami będą starzy, pamiętający czasy, gdy godność ceniło się wyżej niż dobrobyt!

Przeciwko nam będą starcy, myślący tylko o bezpieczeństwie, spokoju i emeryturze.

Z nami będą mężczyźni, pragnący decydować - i umiejący decydować, domagający się praw - ale gotowi przyjąć i obowiązki!

Przeciwko nam będą pantoflarze i asekuranci, tak długo zastanawiający się, czy zareagować na splunięcie w twarz, aż ślina wyschnie.

Z nami będą kobiety, gotowe złożyć swój los w ręce wybranejgo mężczyzny. Z nami też będą emancypantki skłonne do prawdziwie równej konkurencji z mężczyznami.

Przeciwko nam będą kobiety przerzucające swoje obowiązki na swe siostry - a od państwa domagające się nie równych praw, lecz nieuzasadnionych przywilejów, narzucanych w razie potrzeby opornym - siłą!

Jak z tego przeglądu widać - nie wierzymy w masowe poparcie naszego PROGRAMU...



## GOSPODARKA: Zadyszka czy zawał ?

Można zajrzeć do rocznika statystycznego i stwierdzić, że po 40 latach komunistycznych rządów i "niezwykle korzystnych dla PRL stosunków gospodarczych z krajami socjalistycznymi, a zwłaszcza ze Związkiem Radzieckim" znajdujemy się na końcu listy krajów europejskich pod względem budownictwa mieszkaniowego, telefoniczacji kraju, automatyzacji i robotyzacji procesów produkcyjnych, wydajności pracy, a co za tym idzie: wielkości dochodu narodowego na głowę mieszkańca.

"Przodujemy" za to w statystykach śmiertelności niemowląt, zachorowań na gruźlicę i choroby weneryczne, w spożyciu alkoholu /z tym się "wadza" nie zgadza, napiszę więc inaczej: przodujemy w liczbie osób zamroczonych alkoholem spotykanych w miejscach publicznych/, w liczbie wypalanych papierosów, a chyba także w liczbie narkomanów. Nie są to sprawy gospodarcze, ale przecież to marksiści twierdzą, że "nadbudowa" ma swe źródła w "bazie".

Właściwie poza wydobywaniem węgla, siarki i miedzi, a więc surowców, które dała nam Opatrzność, nie możemy się niczym poszczycić. No bo jak chwalić się przemysłem okrętowym, który przynosi straty?, przemysłem lotniczym, produkującym przede wszystkim samoloty AN-2, które są już techniczno-technologicznym anachronizmem?, hutniczym, który rozbudowany "przy pomocy ... itd" nie zapewnia krajowi odpowiednich ilości stali jakościowych i wyrobów walcowanych, a jako całość jest deficytowy?, motoryzacją?, przemysłem chemicznym?, elektronicznym?,

Kto uważnie śledzi prasę /nie piszę: partyjną, bo poza kilkoma czasopismami, związanymi z Kościołem, innej nie ma/ ten zauważył, że nasza gospodarka bez przerwy "odrabia opóźnienia i to w każdej dziedzinie. Można więc powiedzieć, że przez 40 lat ciągle wlecemy się w ogień Europy.

Traktując społeczeństwo jako gromadę naiwnych ignorantów zaszewnowano nam niedawno parę artykułów, w tym także autorstwa osób z profesorskim autorytetem, które ukazując "pewne braki", podkreślały "awans cywilizacyjny", jakiego dokonała Polska pod rządami PZPR /Przemysowo Zjednoczonej Partii Robotniczej/. To zupełnie tak jak z tym dowcipem na temat przemówienia Gomułki: "Przed wojną nie mieliśmy telewizorów a teraz mamy". Albo inny kawał: "Przed wojną panowało powszechne bezrobocie, którym dotknięte były przeważnie kobiety, a teraz większość kobiet pracuje. Bo muszą. Bo inaczej rodziny zdechłyby z głodu".

Mijające 40 lat swoich rządów PZPR zamyka sukcesem na miarę .... likwidację kartek na wyroby zbożowe, masło i cukier. Nie wykluczone, że w momencie ukazania się tego artykułu czytelnicy będą już mogli oglądać, a niektórzy nawet kupić mięso bez kartek po cenach komercyjnych.\*

Zanim przedstawię swój punkt widzenia na stan i perspektywy gospodarki PRL chciałbym przypomnieć podstawową zasadę ideologii komunistycznej, jaką jest prymat polityki nad ideologią. Sprowadza się to do tego, że komuniści raz zdobytej władzy nigdy nie oddają, ignorując nastroje społeczne i wolę narodu. Wiemy z własnego doświadczenia, że komuniści w krajach przez siebie opanowanych sprawują władzę poprzez rozbudowany aparat terroru i zmonopolizowanie gospodarki. Niewielkie enklawy gospodarki prywatnej są trzymane za gardło przy pomocy specjalnego ustawodawstwa, które zmusza np. rzemieślników do przekraczania przepisów. A wiadomo, że ludzie zdający sobie sprawę, że mogą w każdej chwili wszystko utracić, stają się

bardzo "plastyczni" moralnie. Człowiek pozbawiony przez wszechwładną partię podstaw egzystencji powinien zginać, lub się złamać. W PRL można jeszcze uciec do rodziny na wieś, lub znaleźć przytulisko u rzemieślników, dlatego nasze rolnictwo indywidualne jest gołą w oku pozostałych partii komunistycznych obozu moskiewskiego. Powoduje ono bowiem, że władza komunistów w PRL nie jest tak absolutna jak w pozostałych krajach Układu Warszawskiego.

Z tego też pewnie powodu minister Zięba wydał tajne zarządzenie zobowiązujące wszystkie szczeble zarządzania rolnictwem do niedopuszczenia, by Fundacja Rolnicza /gdyby powstała, na co coraz mniej się zanosilo/ doprowadziła do wzmocnienia rolnictwa indywidualnego.

A tymczasem z końca świata napływają wieści, że Chińczycy indagowani w sprawie cudu, jakim było podwojenie produkcji rolnej w ciągu kilku ostatnich lat, odpowiadają, że wystarczyło ograniczyć kołchozy i dopuścić do powrotu rolnictwa indywidualnego. Ale dość dygresji na temat rolnictwa, zwłaszcza, że jest to sprawa niezwykle skomplikowana, warta dyskusji specjalistów.

Wypuszczenie nawet części gospodarki spod kontroli jest jednocześnie zerzeniem się części władzy. Niektórzy twardogłowi /nie wiem skąd ta nazwa. Powinno być: tępogłowi/ uważają nawet, że byłby to początek końca realnego, czyli sprawującego władzę socjalizmu. W tym świetle trzeba bardzo ostrożnie podchodzić do wszelkich komunistycznych obietnic i programów, w tym także do reformy gospodarczej.

Polskiej gospodarce bardziej niż surowców brakuje przedsiębiorczych ludzi i mądrych ustaw, które stawiałyby właśnie na ludzi mądrych i przedsiębiorczych, które zrównałyby w prawach sektor prywatny.

Niestety, podstaw do optymizmu nie ma. Reforma gospodarcza pełznie powoli i niekonsekwentnie naprzód i wkrótce musi natrafić na granicę wykreśloną przez prymat polityki nad ekonomią. W niektórych miejscach granica ta już została osiągnięta. Np. nikt, choćby był genialnym wynalazcą i organizatorem nie ma szansy na zorganizowanie w kraju wielkiego przedsiębiorstwa. Jak wierzyć, że reformujemy gospodarkę, skoro rzemieślnikom określa się wielkość obrotu nie tylko globalnie ale nawet na 1-go zatrudnionego. Występuje więc świadome hamowanie wzrostu produkcji i wydajności pracy. Jest to nie tyle uzasadnione obawami przed "odrodzeniem się kapitalizmu" /powiało grozą!/ co przed kompromitacją państwowego sektora gospodarczego. Ekstremalną ilustracją tego rodzaju obaw było wystąpienie w Komisji Sejmowej ministra Przemysłu Chemicznego i Lekkiego profesora /!/ E. Grzywy, który uzasadniał niską produkcję łódzkich zakładów włókienniczych konkurencją firm polonijnych, ściągających do siebie pracowników z zakładów państwowych. Tu kilkadziesiąt tysięcy ludzi, a tu kilkadziesiąt i hałas już duży.

Chińczycy udowadniają na co dzień, że nawet ludzie wychowani w szkołach marksistowskich mogą się oderwać od dogmatów. No ale oni sami dla siebie są wielkim bratem i mogą rozumować kategoriami narodu i państwa.

Władza umocniła się w siodle. Mamy - premiera profesora - ekonomistę /marzy mi się przeczytanie jego pracy doktorskiej/, mamy znakomite kierownictwo Komisji Planowania/ np. zastępca przewodniczącego Komisji, Franciszek Kubiczek, na poprzednim stanowisku w KC w całym zaangażowaniem zajmował się organizacją Klubów Eksporterów do ZSRR, wierząc, że to zwiększy nasz eksport!/, mamy wreszcie rzecznika prasowego



rządu, który przerósł swego nauczyciela i szefa Rakowskiego, a któremu zdarza się mówić prawdę... np., że rząd się wyżywi. Rzeczywiście. Taka ekipa gwarantuje dalsze sukcesy.

Pierwszym istotniejszym pociągnięciem w polityce gospodarczej po wprowadzeniu stanu wojennego była decyzja o reorientacji naszych stosunków gospodarczych z zagranicą: z Zachodem tyle tylko, na ile będzie chciał finansować i wspierać technologicznie swoich przeciwników, czyli kraje komunistyczne, w tym PRL, a ze Wschodem na całą parę. Miało to być receptą na likwidację kryzysu i harmonijny rozwój gospodarczy /patrz wystąpienie Jaruzelskiego, Obodowskiego, Długosza i in./. Przy każdej jednak okazji wołano o przesunięcie spłat zadłużenia i o nowe kredyty. Sam bym wołał. Byłbym jednak skromniejszy. Nie wypuszczałbym Urbana do poważnych dziennikarzy, by im oświadczał, że pieniądze to weźmiemy, a nawet nam się należą, bo z winy Zachodu /!/ ponieśliśmy straty, ale nikt nam nie będzie wściubiał nosa do tego, na co je wydajemy. Słusznie, Uszatku, już raz pokazaliśmy klasę, a pokażemy jeszcze nie raz.

Od trzech lat drepczemy w miejscu. W całym przemyśle i infrastrukturze nastąpiła poważna dekapitalizacja. Restrukturyzacja przemysłu czyli jego przegrupowanie w kierunku efektywnościowym okazuje się niemożliwa bez inwestycji i pozostaje na papierze, a przywracanie przemysłu do życia odbywa się w ramach starych struktur. Komunistyczni przywódcy nie sięgnęli szerzej po rezerwy finansowe i intelektualne tkwiące w sektorze prywatnym. Kiedy tępgłowi zauważyli, że niektóre firmy polonijne osiągnęły w kilka lat miliardowe obroty, wymyślili doktrynę o niesłusznym wzbogacaniu się i zaczęli nagonkę na sektor prywatny, przekonując prostaczków, że żyłoby im się lepiej... gdyby nie bazar Różyckiego. O co do czego zesła socjalistyczna ekonomika.

PRL zostanie zapewne przyjęta do Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Napłyną pewnie, aczkolwiek raczej wąskim strumieniem nowe kredyty. Może do tego czasu warto by wysłać paru ministrów i kilkuset dyrektorów do szkół, gdzie o Marksie uczy się jedynie na zajęciach z historii myśli ekonomicznej? Szkoły tego typu są płatne, ale byłaby to chyba inwestycja szybkorentująca. A jak na razie partia tworzy pracowicie podwaliny pod nowy kryzys społeczno-gospodarczy. Zanosí się na to, że PRL będzie miała tym razem towarzystwo. Może jedynie bez NRD, bo jest to kraj udanego eksperymentu: budowy komunizmu za kapitalistyczne pieniądze.

Michał Kowalik

\*  
Autor zgadzi! (Wiedział?) W trzech województwach wprowadzono od 1 lutego 1986 tytułem eksperymentu - wolną sprzedaż mięsa. W związku z tym pozwałam sobie zacytować (z pamięci) następującą ogólnieświatową p. Janusza OSEKI pochodzącą z 1956 roku:

"Ludzie chodzili różnie: na głowie, na rękach, na uszach, na rzęsach - a poniekąd nawet na włosach.

Pewnego dnia na ulicach pojawili się ludzie chodzący na negach. Na plecach mieli tabliczki z napisem:

E K S P E R Y M E N T

"

☆ Ze "Sztandaru Młodych" /25.11.85/ można się dowiedzieć, jakie to ogromne korzyści osiąga PRL ze stosunków gospodarczych z Libią. Autor, podpisujący się (Afro) wylicza usługi świadczone Libijczykom przez Budimex, Dromex i Polsevice - oraz towary, które do Libii eksportujemy. Szkoda jedynie, że nie podaje, ile do tego interesu dołożyły (zwłaszcza Budimex) oraz na jakie sumy zalega Libia z płatnościami. Wyplacalność tego "naszego największego partnera gospodarczego w Afryce i trzeciego wśród krajów rozwijających się" jest okresami tak słaba, że Ministerstwo Handlu Zagranicznego poczuło się zmuszone do wstrzymywania zawierania dalszych kontaktów z Libią. Libia winna jest PRL miliony dolarów, a jednocześnie rozmawia z przedstawicielami polskich firm jak XIX-wieczni Anglicy z Zulusami.

Obozowi socjalistycznemu tak zależy na Kadafim, że nie wolno po wiedzieć nań żadnego ostrzejszego słowa. Polscy specjaliści zatrudnieni w Libii podlegają różnym szykanom. Zdarzały się wypadki zabójstw i grabieży, ale w żadnym z tych przypadków Polak nie mógł liczyć na ochronę i pomoc konsulatu PRL.

Kiedys komuniści "pieścili" Indonezję, później Egipt, teraz Libię. Na zdrowie! Tylko dlaczego za nasze pieniądze?

VETO ☆

Janusz Korwin Mikke

## W OBRONIE PRAW NARODÓW

### CZYLI: rasizm wciąż groźny!

Wykształcony i kulturalny Europejczyk - a i Amerykanin też - wie znakomicie, że przekonanie o wyższości własnej kultury jest czysto subiektywne. Z niechęcią przyzna, że człowiek o prymitywnym umyśle i odruchach ma - b y ć m o ż e - prawo do uważania za wyższą swojej kultury - ale też starać się należy, by odruchy te nie prowadziły do zniszczenia innych kultur, pielęgnujących odmien ne od naszych wartości.

Liberał konserwatywny ma nieco inne stanowisko: owszem, ceni obce kultury; owszem, pragnie je zachować; owszem, uważa je za cen ną część wspólnego dziedzictwa ludzkości. Czasem jednak występuje konflikt, który musi być rozwiązany siłą - i wówczas każdy m a m o r a l n e p r a w o b r o n i ć s w o j e j k u l t u r y . Bywa też, że kultura sama zaczyna zanikać i rozpadać się; konserwatywny liberał nie bę dzie w takim przypadku "pomagał" ginącej kulturze: albo zbierze ona swoje siły, na nowo się odrodzi - albo zaniknie w naturalnym procesie, jak tyle innych. Gdyby kultury nie ginęły, do dziś jed- l i b y ś m y m a ś o k r a j a n e n o ż e m z k r z e m i e n i a r o z ł u p a n e g o - p o d a n e n a s k o r u p c e z r o b i e n e j p r z e m y ś l n ą t e c h n i k ą s z n u r k o w ą . "Pomoc" zresztą bardziej szkodzi niż pomaga: by to zrozumieć wystarczy popatrzeć na Indian gniących w rezerwach, odurzających się alkoholem i narkotykami za pieniądze otrzymywane od wspaniałomyślnych Białych - a także zarabiane za sprzedaż wytworów ludowej kultury indiań- s k i e j (które już dawno przestały być elementami autentycznej kul- t u r y , g d y ł I n d i a n i n i n i e p a l i d z i s f a j e k p o k o j u l e c z p a p i e r o s y ) .

Jednak łączy nas z lewicą przekonanie, że obcych kultur nie na- l e ż y n i s z c z y ć (w każdym razie: bez potrzeby), że trzeba je szano- w a ć i w m i a r ę m o ż l i w o ś c i s t w a r z a ć w a r u n k i d o n i e s k r ą p o w a n e g o r o z - w o j u . Każda taka, nie szkodząca innym, kultura ma prawo do istnie- n i a - i p o w i n n i ś m y j ą t o l e r o w a ć , w m i a r ę m o ż n o ś c i z y c i z l i w i e .

Dlatego - wbrew posądzeniom, że zaulepia nas nienawiść do wszel- k i e j l e w i c y - p r a g ń ą b y ś m w e z w a ć l e w i c ą i j e j ś w i a t ł y c h p r z e d s t a w i - c i e l i d o w ś p ó l n e j a k o j i w o b r o n i e z a g r o ż o n y c h p r z e z n a s k u l t u r .



Chodzi mi przede wszystkim o kulturę najbardziej w tej chwili zagrożoną przez poczynania nikoziemnych kapitalistów z Wall Street - a także socjal-hegemonistów z Kremla: o kulturę apartheidu!

Każdy po namyśle przyzna, że apartheid wytworzył samoistną i oryginalną kulturę; więcej: stworzył nowy typ stosunków społecznych. Nie mogę pojąć, jak ten sam brodaty profesor antropologii z Nowego Jorku może z tkiwością w głosie rozводить się nad potrzebą ratowania liczącego 200 osób ginącego plemienia łowców głów na Nowej Gwinei - a jednocześnie domagać się zniszczenia dość prężnej kultury stworzonej przez zlanie się kultur Burów, Hotentotów, Zulusów, Anglików, Francuzów, Niemców i Bantu; zlanie się - przy zachowaniu wszakże znacznej odrębności umożliwiającej ocalenie tych kultur.

Zadziwiające, że ten sam profesor przed godziną mógł zachwycać się pracą innego antropologa, opisującego techniką stosowaną przy badaniach plemion pierwotnych "obyczaje plemienia żyjącego w mieście San Francisco". Wynika z tego, że łaskawie przyznaje on Białym status twórców kultury będącej obiektem zainteresowania uczonego - a jednak znacznie ciekawsza kultura apartheidu budzi u niego zamiast pasji badawczej - pasję niszczenia!

Zauważmy przede wszystkim, że takie stanowisko wynika z mistyfikacji pojęciowej. Dla naszego profesora RPA to państwo, gdzie Biali uciskają Czarnych. Nie przyjdzie mu do głowy, że np. kultura Bantu i kultura Hotentotów mogą się od siebie różnić bardziej, niż kultura Burów i - powiedzmy - Oksfordczyków. Nie przyjdzie mu to do głowy - gdyż widzi jedynie różnice rasowe. Powiedzmy krótko: jest on po prostu skrajnym rasistą!

W rzeczywistości Konstytucja RPA wymienia cztery grupy ludności:

- 1/ Biali /od pół wieku nie odróżnia się już Anglików od Burów/
- 2/ Kolorodzi
- 3/ Hindusi /i inni Azjaci: Malajowie, Chińczycy.../
- 4/ Bantu

W pojęciu naszego profesora przybyli z Europy Biali uciskają prawowitych właścicieli tych ziem: Murzynów. W tej tezie każde słowo jest błędem!!!

Co do ucisku: efektem ucisku jest z a w s z e powna ucieczka uciskanych; jest to naturalny proces fizyczny. Polski chłop emigrował, gdyż był uciskany. Afgańczycy uciekają przed uciskiem. Natomiast Bantu masowo uciekają d o RPA, ryzykując nawet (niewiele zresztą) kary.

Co do uciskających B i a ł y c h : w pojęciu naszego profesora gdy władze RPA rozstrzelają raz na dwadzieścia lat jakiegoś prowadzącego zamachowców - to jest to ucisk. Gdy natomiast p. Idi Amin morduje 250.000 Ugandyjczyków - to jest to realizacja wolności Ugandyjczyków do praktykowania takiej formy rządu, jaka im się zamarzy. Jaka jest różnica między obydwiema sytuacjami: naturalnie, k o l o r s k ó r y . Gdy Czarny bije Czarnego - to OK; gdy Biały bije Czarnego - to nie! Nasz profesor raz jeszcze okazuje się tym, czym jest naprawdę: r a s i s t ą !

Sytuacja jednak komplikuje się nadal. Otóż - o czym mało kto wie - w obecnych zamieszkach Czarni nie atakują Białych - lecz innych Czarnych; konkretnie: zwolenników apartheidu. Mordują, palą żywcem... To jest OK. Gdy jednak policja - m u r z y s k a ! (tę informację się starannie pomija!) - w ich obronie strzela i zabija - to już nie jest OK.

Co do prawowitych właścicieli tych ziem... Wyobraźmy sobie, że p. Kadafi do spółki z królem Husseinem roszcza sobie pretensje do Wilna, gdyż przed wojną najliczniejszą nacją byli tam Żydzi, będący - podobnie jak Arabowie - Semitami!

Taka właśnie sytuacja panuje w RPA. Jej ziemie zamieszkiwali przeważnie Hotentoci. Istniały też liczne kolonie portugalskie,

byrzytyjskie, niemieckie, holenderskie, hiszpańskie i francuskie. Istniały małżeństwa i związki mieszane /apartheid - to pojęcie z 1936 roku! Tu skierowała się emigracja purytanów holenderskich. Gdy na Kraju Przylądkowym położyła łapę Wielka Brytania, Burowie uciekli przed uciskiem na północ - gdzie zaczęli ścierać się z Zulusami, uciekającymi z północy przed naciskiem Bantu.

Przed osiedleniem się Białych - i przez ponad sto lat potem - na ziemiach tych nie przebywał żaden szczerp Bantu - ludności stanowiącej bodaj ponad 90% Murzynów w RPA! Jest to ludność n a p ł y w o w a - późniejsza od Burów i Anglików.

Jako ciekawostkę dodajmy, że w wojnach z Burami zasłynął niejaki Czako - wódz Zulusów zwany (nie znano wtedy jeszcze Hitlera) "murzyńskim Napoleonem". Swym okrucieństwem budził przerażenie nawet Murzynów - dziś figuruje w podręcznikach jako - oczywiście! - "bohaterski bojownik o ..."

Gdy spytać owego profesora, kim są tajemniczy "Kolorodzi" odpowiada, że są to Mulaści. Nie dziwi go prawne uznanie tej kategorii - wobec kar więzienia za stosunki seksualne między rasami!! (swoją drogą: to Biali jest skazywany za stosunek z Murzynką, a nie ona - co nasuwa podejrzenie, iż nasz antropolog protestuje, gdyż w RPA miałyby ograniczoną aktywność seksualną...)

W rzeczywistości Kolorodzi to zazwyczaj po prostu pierwotni właściciele tych ziem: Hotentoci. Są też mieszańcy i potomkowie mieszańców. W istocie wszyscy, którzy nie są Białymi, Bantu lub Hindusami, tj. Azjatami.

Mają też oni prawa polityczne - co prawda od czasów apartheidu znacznie ograniczone. Nie protestowali jednak zanafto, gdyż nie są to może ludzie inteligentni i wyszczeni - ale są to ludzie mądzy: czy mają gwarancję, że parlament z 10% Kolorodów broniłby ich praw lepiej niż parlament Białych? Trzeba tu dodać, że Biali bronią ich praw i przywilejów raz z tradycji (uznają prawo pierwszeństwa) a dwa: z wyrachowania (by mieć ich po swojej stronie).

Dalszym nieporozumieniem jest stosunek do Hindusów. Mało kto wie, że Konstytucja RPA wymienia rasy w i n n e j kolejności: Hindusi są na czwartym miejscu, z a Bantu. Filozofia RPA polega m.in. na (nie budzącej sympatii liberała!) ochronie nieżyty lotnych w handlowej materii Murzynów przed przybyszami z Azji, przybyszami dla zrobienia łatwego majątku (nie tycozy to imigracji z I połowy XIX w.)

W naszym kraju wszyscy wykształceni ludzie skłonni są rzucad gromy na apartheid - a jednocześnie niemal wszyscy podziwiają "Złoty Wiek" polskiej historii i polską tolerancję. Mało kto zauważa - choć W I B!! - że w Polsce szlacheckiej Żydzi, Ormianie i Tatarzy żyli w klasycznym apartheidzie! Małżeństwa Lyda z Polką było niemożliwe nie z powodu zakazu - lecz ipso facto: gdyby Lyd się ochrzcił i wziął ślub w kościele - to przestałby być Żydem!! Słubów cywilnych wtedy niebyło...

Dwie jednak były różnice. Po pierwsze Kazimierz Wielki mógł sobie mieć Esterkę - i nikogo to nie raziło poza prospektywnymi kochankami-Polkami. Apartheid zyskuje sobie poparcie kobiet gwarantując im usunięcie konkurencji Murzynek.

By omówić drugą, wypada sprostować jeszcze jedną popularną opinię, którą zapewne podziela i nasz profesor. Opinia ta głosi, że oto ohydny bogaci Biali gnębią Murzynów - a proletariusze wszystkich krajów łączą się, by zapewnić im równe prawa.

Prawda jest zupełnie inna. Po I wojnie światowej wielu farmerów (przeważnie Burów) udało się do miast jako robotnicy - i stanęli przed konkurencją Bantu, zazwyczaj silniejszych, a nieraz zręczniejszych i inteligentniejszych (bo trzeba pewnie śmiałości umysłowej, by - zwłaszcza będąc Białym - musieć pracować jako robotnik



w RPA!). Owi "biedni biali" wymogli na rządzie przepis nakazujący przyjmowanie do pracy określonego procentu Białych robotników - i zapewnienie, że żaden Biały - choćby pracował marnie - nie może zarabiać mniej, niż jakikolwiek Czarny na tym stanowisku!

Ustawa taka budzi oburzenie liberała - i słusznie wzburzyła Czarnych. Przede wszystkim zaś demoralizowała robotników obu ras. Nadto uderzała w interes kapitalistów, zmuszając do najmowania robotnika droższego i gorszego - zamiast lepszego i tańszego. Kapitałisci ci - zazwyczaj Anglicy - spróbowali obalić tę ustawę...

Wówczas biali górnicy zastrajkowali. Nieskutecznie - gdyż Afrykanie kontynuowali pracę. Wówczas na arenę wstąpiła Partia Komunistyczna Południowej Afryki: pod Czerwonym Sztandarem zorganizowała "Marsz do Zwycięstwa" - czyli pogrom Czarnych i kapitalistów. Czerwona ruchawka została krwawo stłumiona gdyż nacjonalisci (mimo początkowych uzgodnień) wycofali się z sojuszu przerażeni antykapitalistycznymi akcentami. Jednak Labour Party do dziś jest podporą systemu apartheidu (zaś kom-partia od tamtej pory zaczęła tracić wpływy i obecnie chyba nie istnieje - w białym wydaniu). Natomiast - jak zauważy czytelnik prasy - to przemysłowcy RPA nawiązują obecnie rozmowy z przywódcami ruchawek murzyńskich.

Tu jeszcze jedno nieporozumienie: w RPA są Murzyni Bantu osiedli od 50 lat - i Murzyni Bantu świeżo przybyli z innych krajów. Kłopoty władzom stwarzają jedynie ci ostatni. Zjawisko to znane jest nie tylko socjologom jako "Daj kurze grzędę..."

Nad tym "i" jeszcze kropka. Cytuję z p. Daniela Grinberga "Genyzy Apartheidu" s. 146/: «Zasady polityki gospodarczej nacjonalistów określono na zwołanym w październiku 1934 roku pod egidą Kościoła Volkskongresie/.../(zauważmy, że apartheid narasta w latach 1926-1960 - tak, jak etatyzm na całym świecie; Uw. JKM) "Chylący się ku upadkowi" kapitalizm i imperializm angielski miał być stopniowo wyeliminowany, przemysł przejęty na własność narodowo-chrześcijańskiego państwa. W ostatniej chwili zrezygnowano ze względów taktycznych z postulatu nacjonalizacji kopali» Jak widać - czyste komuna! Natomiast liberałowie, określani przez Autora jako: «Parlamentarzyści dalecy od lewicowych poglądów, rozpatrując łącznie zagadnienie "biednych Białych" i napływu czarnej ludności do miast, doszli do wniosku, że zarówno "dla ich własnego dobra, jak i w interesie społecznej sprawiedliwości, musi ustać faworyzowanie Biednych Białych kosztem Czarnych"». Raz jeszcze potwierdza się, że nacjonalizm to po prostu najwyższe stadium socjalizmu. Jednak czyś ty apartheid nie musi wiązać się z faworyzowaniem jakiejś rasy!

Następnym popularnym nieporozumieniem jest kwestia narodowa. Murzyni Bantu należą do różnych narodów, mówiących różnymi językami (swahili pełni rolę łaciny w Europie!). Parlament RPA dba - wbrew radom, których udzieliliby mu liberałowie... - o ich narodową kulturę. O swoją też. Efektem jest ustawa sprzed dziesięciu lat nakazująca udzielanie Murzynom lekcji w ich języku ojczystym - a w szkołach średnich i na uniwersytetach w języku afrikaans, będącym lokalną odmianą holenderskiego.

Mało kto wie, że słynne wówczas zaburzenia w Soweto (jest to skróć od South-West Town - osiedla murzyńskiego, gigantyczne "sympialni murzyńskie") obok białego Johannesburga gdzie policja (murzyńska) strzelała gumowymi kulami do dzieci, polegały na protestach przeciwko tym kulturalnym zapędom, które powinny ucieszyć naszego antropologa. Murzyni nie chcieli uczyć się ani po murzyńsku, ani - tym bardziej! - w afrikaans; chcieli uczyć się w języku angielskim, dającym im możliwość kontynuacji nauki na przyzwoitym uniwersytecie w całym świecie - a także języku, w którym wykładają dobrzy nauczyciele. Gdzie znaleźć wykładowcę botaniki w języku Kwa-zulu? Kto pokryje koszt tłumaczenia podręczników (na co rząd RPA sypie zresztą b.hojnie)?

Nieporozumieniem jest też przekonanie, że apartheid to doktryna o wyższości rasy białej. Jej biali twórcy zapewne takie przekonanie mają - ale nikt nie przeszkadza Murzynom uważać przeciwnie. Za publiczne nazwanie Murzyna obraźliwym określeniem (np. Kafr) Biali bez pytania wędruje na dwa tygodnie do aresztu! Apartheid oznacza "trzymanie osobno" - i tyle. Liberalowie patrzą na takie coś podejrzliwie - ale nikt przy zdrowych zmysłach nie zwalca np. osobnych ubikacji dla mężczyzn i kobiet. Jeśli dwie rasy chcą trzymać się osobno (Murzyni twierdzą, że Biali okropnie śmierdzą!) - to jest ich sprawa. NB. znacznie więcej jest Czarnych zwolenników apartheidu - niż Białych (co wynika ze znacznej przewagi ilościowej Murzynów, gdyż w procentach sytuacja jest inna).

Konsekwentną realizacją apartheidu są Bantu-stany. Są to tereny przyznane poszczególnym narodom Bantu i Zulu. Na tych terenach nie panuje prawo Białych - i republiki te ustanawiają własne prawa, zazwyczaj plemienne. Pardon: część z nich to nie republiki, lecz oligarchie plemienne. W niektórych rządzą wodzowie. Z chwilą utworzenia takiego państwa wszyscy członkowie danego narodu zostają uznani za jego obywateli (choćby ich stopa tam nie stanęła!) przebywających w gościnie lub na robotach w RPA. Są tu traktowani jako obcokrajowcy - co dla obydwu stron jest wygodne: Francuz w Polsce traktowany jest łagodniej, gdy popełni wykroczenie nie będąc wstępkiem w jego ojczyźnie.

Analogia z sytuacją Żydów w Polsce szlacheckiej jest daleko posunięta. Żydzi też mieli własne sądownictwo, własny skarb - oraz ghetto, gdzie nie wkraczało prawo polskie. Analogia ta idzie trochę za daleko: między ideą a realizacją władze RPA zawahały się. Z terenów Bantustanów wykrojono kawałki białych farm (zbyt duże ko-szty translokacji) w wyniku czego pozostały w nich najgorsze ziemie. Ziemi tej było mało - w dodatku bantustany są zazwyczaj wykrojone z kilku kawałkach nie połączonych ze sobą, co utrudnia administrację. Rząd i parlament ma wyraźnie wyrzuty sumienia, gdyż dość hojnie dofinansowuje te twory (buntujące się, a jakże i domagające swoich praw!) - ale, niestety, samorząd uczy gospodarności, zaś dotacje demoralizują...

W efekcie okazało się, że niepodległość skrojona sztucznie to nie to samo, co niepodległość wywalczona samodzielnie. Lusi upłynęło jeszcze kilka lat, zanim bantustany poczuły się naprawdę suwerenne. Typowe, że najstarszy, Transkei, zachowuje się znacznie bardziej samodzielnie niż niepodległe od dziesięciokół lat państwa Leso-cho i Swazi - natomiast młodsze raczej raczkują.

Uwaga: niektóre z tych plemion popierają apartheid i praktykują go u siebie (na odwrót, oczywiście), niektóre popierają - ale nie praktykują u siebie - a niektóre walczą z apartheidem. Jeszcze jeden dowód, że Murzyn Murzynowi nierówny. Nasz przemądry antropolog nie wie zapewne, że Senegalczyk genetycznie jest bardziej zbliżony do Niemca niż do Buszmena. Tzn. on wie o tym - i natychmiast przypomni to w dyskusji o nazimie niemieckim - ale całkiem zapomina o tym, gdy mowa o rasach w RPA.

To rasowe podejście jest istotnie indukowane przez stosunki w RPA. Nawet autor znakomitej książki "Geneza apartheidu" - Ossolineum, 1980/, p. Daniel Grinberg, potyka się pisząc na końcu, że apartheid zamyka przed Murzynami "możliwości awansu społecznego". Twierdzi tym samym, że np. szef Transkei jest czymś gorszym, niż premier Transvaalu (prowincji RPA). W rzeczywistości panuje tu symetria: Biali nie może zostać szefem Transkei. Dlaczego więc Czarny ma gorzej? Bo Transvaal jest państwem Białych, a więc jest lepszy (choć samorządność Transkei jest z n a c z n i e większa!).

Ale - zauważy ktoś - premier Transvaalu może zostać prezydentem RPA, a nawet gen-sekiem ONZ. To prawda: RPA to twór cywilizacji eu-



ropejskiej - i żaden kompromis nie jest tu możliwy; zarówno organizacja, jak i domu ludzkiego są dobre - jednak konstrukcja łącząca cechy obydwu, by "harmonijnie zamieszkiwały go pszczoły i ludzie" - byłaby zapewne absurdem, o czym na codzień przekonują się Rodezyjczycy (obecnie: Zimbabwianie)...

Zaraz! A dlaczego szef Transkei nie może nie tylko zostać gen- sekiem ONZ, ale nawet się w niej pojawić (choć występują tam takie marionetki, jak p.Arafat)? Dlatego, że ONZ nie uznaje Transkei! Do ONZ może należeć wysepka o 8 tysiącach mieszkańców - i jeszcze mniej suwerenne państwa, jak Mongolia - a także całkiem niesuwerenne, jak Białoruska SRS i Ukraińska SRS; nie może natomiast Transkei. Dlaczego? Bo nie podoba się Murzynom i brodatym antropologom. Czy RPA zabrania Transkei wstąpić do ONZ? Skąd-że, ona to popiera! Kto zatem blokuje Czarnym drogę awansu społecznego?

System apartheidu istotnie jest niesprawiedliwy. Dlaczego Polak z "SOLIDARNOSC"-i, przybyły w r.1982, jest w lepszej sytuacji niż Bantu przybyły tam w 1955? Powiedzmy jednak, że rząd RPA chce się przed opinią, i wprowadzi zasadę, że prawo głosu ma ten, kto od ponad trzech pokoleń mieszka w RPA. System taki ma np. Monako - i nikt nie ma doń o to pretensji. W RPA prasa potraktowałaby to jako ustępstwo reżimu - i z tym większą zajądlnością rzuciła się do ataku.

Moim zdaniem w RPA nie powinno się utapiać ani na krok! Apartheid to ciekawy eksperyment społeczny - który nieźle zdał egzamin, zapobiegając tarcjom rasowym, jakie miały miejsce w USA. Gdy rasy się mieszały - a przekonanie o wyższości u każdej pozostanie - gwałtowne rozruchy są nieuniknione. Sądzę, że dla ich uniknięcia Biali muszą nie rezygnować z apartheidu - a znacznie hojniej wypłacać bantustany w terytoria i środki produkcji. Stać ich!

Tu dochodzimy do sprawy ostatniej? Dlaczego, wbrew wszelkiej logice, chór lewicy zgodnie i zajądl zwalcza RPA?

Prawdą jest, że RPA naraziła się Stanom Zjednoczonym. USA odeszły od waluty złotej i robiły różne szwindle z eurodolarami - a RPA odbierała im część zysków, sprzedając masowo swoje prawdziwe złote kręgerandy". Jednak największym wrogiem RPA jest ZSRS.

Nie, nie z uwagi na podobieństwo ustroju. Sprawa jest prostsza: RPA to pierwszy, a ZSRS drugi producent złota na świecie.

Gdyby w RPA wybuchła rewolucja, zwłaszcza socjalistyczna, to kopalnie stanęłyby na wiele miesięcy, może część uległaby zniszczeniu, część stałaby się deficytowa pod socjalistycznym zarządem. Wówczas Sowiety dyktowałyby cenę złota...

Dlatego wydają miliony dolarów na nasyłanie tam i szkolenie agentów i wyrotowców, którzy wkraśniają do RPA wraz z uciekinierami z socjalistycznej Angolii, Mozambiku itd. Co prawda teraz to się urwie: Mozambik raczej skłania się ku Chinom i zawarł traktat z RPA o nie-popieraniu skierowanej przeciw sobie partyzantki. Natomiast finansowanie gazet na Zachodzie, by drukowały paszkwile przeciwko RPA jest dziecinnie łatwe - i tanie. Tym bardziej, że lewicowi dziennikarze sami z siebie tak piszą! Trzeba tylko sugestii.

W Rodezji, po obaleniu supremacji Białych, to nie Biali giną z głodu - to Murzyni. Dlatego w trosce o los Murzynów sprzeciwiam się nagonce na apartheid. Odpowiednią kampanią prasową nawet w kobiety zdołano wmówić, że karmienie dzieci jest niemodne i nienaturalne! Dlaczego Murzyn ma nie wierzyć w to, że apartheid jest nieludzki, gdy mówi mu to codziennie na falach eteru profesorowie z Moskwy, Paryża, Londynu i Waszyngtonu?

J.K-M

PS. A propos socjalizmu i rasizmu: Ma Kubie większe stanowię, jak wiadomo, Murzyni: czy kiedykolwiek w rządzie p.Fidela Castro był jakieś Murzyn? A na jakimkolwiek wyższym stanowisku? Nooo?

# CENZURA

## W WOLNYM ŚWIECIE!

Opozycja "demokratyczna" dostała kopa. Mamy na myśli Komitet Obrony Praworządności - inicjatywę zabawną, łączącą wysiłki cynicznych przywódców i zacnych, lecz nieco naiwnych, obywateli. Organem KOP-u jest pismo "Praworządność" /tytuł szryftem "Solidarności", oczywiście!/. Rozczuliło nas ono do łez.

Pozwalamy sobie zacytować z nr 4 /sprzed roku/ następujący uroczysty protest ze str. 52.

Junta Pinocheta przeciw wolności słowa.

Wojskowy rząd w Chile dopuścił się kolejnego wybryku. 26 marca br. opublikowano dekret o objęciu cenzurą czterech chilijskich czasopism, co niedawno jeszcze było zupełnie nie do pomyślenia. W treści dekretu czytamy: "...Niektóre czasopisma stale uwypuklają wiadomości i opinie prowokujące lub popierające zakłócenia porządku publicznego.... Na podstawie przyznanych mi uprawnień zarządzam: pisma "Analisis", "Apsi", "Hoy" i "Couse" muszą od dzisiaj przedstawiać z 24 godzinnym wyprzedzeniem do mego urzędu bieżący numer, celem uzyskania zgody na jego rozpowszechnienie i druk".

Rene Vidal Basauri  
Generał-Major  
Szef Bezpieczeństwa  
Obszaru Stołecznego  
i prowincji San Antonio

Ta bezprecedensowa decyzja chilijskiej junty wywołała falę protestów na całym świecie. Przyłączamy się do nich.

Wreszcie wylazło sztydło z worka. Od dziesięciu lat lewicowa opozycja do spółki z "Trybuną Ludu" wkładają nam w głowę, jak okrutny, tyrański i faszystowski jest rząd p.gen.Pinocheta. I teraz oto okazuje się, że podczas tego całego krwawego terrora nie tylko wolno było tam pisać, co się chce - ale decyzja o cenzurze była "bezprecedensowa" i - do niedawna - "nie do pomyślenia"!!

Może ten solenny protest otworzy wreszcie oczy Polakom, ogłupionym przez szajkę lewackich dziennikarzy ze Wschodu i Zachodu! Tych samych dziennikarzy, których p.prez.Reagan wywalił na zbite pyski z Grenady - i, ku ich zdumieniu, większość Amerykanów p o p a r ł a tę decyzję! Tych samych polityków, którzy bronią demokracji - a p.Reaganowi rzucają pod nogi kłody, gdy próbuje on wprowadzić w życie wolę większości, wyrażoną w głosowaniu na konserwatystów. ■■■

\*) "demokratyczna" piszemy w cudzysłowie, gdyż pretenduje ona do reprezentowania większości obywateli PRL - mimo, że nawet uznane przez nią wyniki wyborów świadczą o czym innym. Współczujemy - ale będziemy demaskować! Sami nie mamy tych problemów: dla nas ważne jest, czy działania są słuszne, rozsądne i efektywne - to, czy opowiada się za nimi 10% czy 90% społeczeństwa, nie ma większego znaczenia.



W roku 1986 minie X rocznica śmierci wielkiego pisarza i poety  
ANTONIEGO SŁONIWSKIEGO

Przypominamy Jego poezję wierszem:

## E X E G I      M O N U M E N T U M

W półobrócony stojąc na weneckich schodach  
Na których marmur wbiega szeleszcząca piana  
(Wenecję zwłaszcza bardzo ci polecam,  
Bo to i Tomasz Mann, i Szekspir razem),  
Przed Tintoretta wstrzymaj się obrazem  
I zamysłone oczy przerzuć w stronę Swanna,  
I tak stronnica, co przed chwilą pusta,  
Zaczerni się literą, aż niespodziewana  
Owionie cię melodią Vinteuila z Prousta,  
Zapach ostróg paryskich i kawy Floriana.  
A jeśli nie dość będzie człowieczeństwa,  
Zamknij to zdanie rzymskich cegieł łukiem,  
Za norwidowym idąc rozstrzelonym drukiem  
Z architektury przejdź do społeczeństwa.  
I tak się zwiążesz z przeszłością i losem.  
Że przetrwasz chwilę, jak echo za głosem.  
Echo minęło. Cóż zostanie?

Zostanie po mnie para butów,  
Które wykonał mistrz nie lada,  
Niejaki Codner Coombs and Dobbie,  
Dwadzieścia jeden Jermyn Street,  
I długo jeszcze mój zegarek  
Wydzwaniać będzie swe tik-tak,  
Bo trwalszy jest szwajcarski wórk  
Niż mego serca wątki wrak,  
Dogasający już ogarek.  
Szlafrok kupiony w Tel-Ayiyie,  
Koszule z Tokio, garnitury,  
Mój pled z kaszmiru żegnam tkliwie  
I zapisuję wszystko w darze  
Młodym warszawskim lowelasom.  
Niech mnie odnajdą na bazarze  
Braci Różyckich. Gdy sen głuchy  
I wieczna mnie ogarnie mgła,  
Niech po Warszawie moje ciuchy  
Położą jeszcze rok czy dwa.

„Nowe Wiersze” - CZYTELNIK, Warszawa 1959

## Z BIBLIOTEKI KLASYKÓW

Zaczynamy od cytatu z Cyryla Northcote PARKINSONA, którego serię książek wydało w 1967 r. /ech, to były czasy.../ partyjne wydawnictwo "Książka i Wiedza". Polecamy!

Jest to fragment eseju pt. Brytyjska linia strzał zamieszczonego w tomiku:

" P R A W O   Z W Ł O K I "

Książka i Wiedza, Warszawa 1967, tłumaczył Juliusz Kydryński

❦ Powszechne mniemanie o tym, w jaki sposób rząd popiera prace naukową, jest zupełnie fałszywe. Straty są wynikiem nadmiaru kontroli, a nie jej braku. Charakterystycznym dziś błędem jest wyobrażanie sobie, że poseł, konserwatysta czy socjalista, może zdecydować o linii badań, a potem pozostawić naukowcom wypracowanie szczegółów. Żaden król ani minister nie mógł polecić Newtonowi, aby odkrył prawo ciążenia, gdyż żaden z nich nie wiedział i nie mógł wiedzieć, że takie prawo było do odkrycia. Żaden urzędnik Ministerstwa Skarbu nie powiedział Flemingowi, żeby odkrył penicylinę. Nie polecono też Rutherfordowi rozszczepienia atomu w określonym terminie, gdyż żaden polityk jego czasów i prawie żaden inny uczony nie wiedzieli, co takie osiągnięcie za sobą pociągnie i jakiemu celowi może służyć. Odkryć nie dokonuje się w ten sposób. Są one rezultatem /a równie często nie są/ pracy kogoś, kto porusza się w swym własnym kręgu badań, zainteresowany jakimś zjawiskiem dotychczas nie zauważonym albo nagle ujrzanym w innym świetle. W naszych czasach jeden kraj zostaje pod względem naukowym w tyle za drugim, równie zamożnym, najprawdopodobniej dlatego, że rząd powiedział swoim uczonym, co mają odkryć, innymi słowy znaczy to, że zbyt wiele pieniędzy przydzielono na projekty specjalne, a zbyt mało na wiedzę abstrakcyjną. Więcej zasobów przeznaczono na projekty, które politycy mogą zrozumieć - to znaczy na rozwój odkryć już dokonanych i opublikowanych - mniej na odkrycia jeszcze niewyobrażalne, tak dalece, że jeszcze ich nie dokonano. Prawo, które powinno rządzić postępem naukowym, brzmi: na każdą sumę wydaną na określony projekt powinna przypadać proporcjonalna kwota przyznawana nauce jako takiej - to znaczy uniwersyteckim fakultetom nauk ścisłych, które swobodnie mogą pracować nad czym im się podoba.

Może wydawać się logiczne, że rząd, który dostarcza pieniędzy, powinien decydować, jak należy je wydać. Ale upieranie się przez rząd przy prawie kontroli bardzo przypomina sytuację, w której pacjent pouczałby swego lekarza, mówiąc: "Ja płacę rachunek, więc ja będę decydował, co oznaczają te objawy i na czym powinno polegać leczenie". Jednym z /kilku/ zarzutów przeciw tej polityce jest to, że oznacza ona płacenie lekarzowi za nic. Jego wskazania, jeśli zawsze są takie, jakie chcesz, żeby były - są bezwartościowe. Jeśli masz mu mówić, co ma robić, możesz również dobrze zrobić to zupełnie bez niego. W tym kontekście doktorzy nauk ścisłych są w zupełnie tej samej sytuacji, co doktorzy medycyny. Ich wskazania są bez wartości, skoro laik im mówi, jakich wskazań mają udzielić.



Co to są: Stany Zjednoczone ?

Jest to agresywny, imperialistyczny kraj, który w każdym zakątku świata wtrąca się w wewnętrzne sprawy Związku Sowieckiego,



# DECLARATION

## The MONT PELERIN SOCIETY

(są to Zamierzenia uzgodnione przez Członków-Założycieli 10.5.1947)

Naczelne wartości naszej cywilizacji są w niebezpieczeństwie. Na obszernych połaciach powierzchni Ziemi już zanikły warunki zasadnicze dla zachowania ludzkiej godności i wolności. Na innych są one nieustannie zagrożone przez rozwijające się tendencje polityczne. Pozycja jednostek i spontanicznych grup jest coraz bardziej podmywana przez rozszerzanie się niekontrolowanej władzy. Nawet najcenniejsze prawo Człowieka Zachodu - swoboda myślenia i wypowiedzania się - zagrożona jest przez rozwój sekt, które - domagając się przywileju tolerancji dopóki są w mniejszości - czekają tylko na zdobycie władzy, dzięki której będą mogli zdusić i unicestwić wszystkie poglądy z wyjątkiem swoich.

Grupa nasza twierdzi, że rozwój ten spowodowany został pojawieniem się poglądów na historię negujących wszelkie absolutne normy etyczne i rozrostem teorii kwestionujących potrzebę rządów prawa. Utrzymuje też, że ich napędem był zanik wiary we własność prywatną i konkurencję rynkową - jako, że bez rozproszenia władzy i inicjatywy, towarzyszącego tym instytucjom, trudno jest wyobrazić sobie społeczeństwo, w którym wolność mogłaby być skutecznie zachowana.

Wierząc, że temu, co jest zasadniczo ruchem ideologicznym, trzeba ba przeciwstawić argumenty rozumowe i wierność wciąż obowiązującym ideałom - grupa ta, po wstępnym zbadaniu tematu, jest zdania, że pożądane są dalsze studia m.in. w następujących dziedzinach:

- (1) Analiza i badanie istoty obecnego kryzysu, by uświadomić innym jego zasadniczo moralne i gospodarcze pochodzenie.
- (2) Ponowne określenie funkcji państwa, by móc wyraźnie odróżniać porządek totalitarny od liberalnego.
- (3) Metody ponownego ustanowienia rządów prawa i zapewnienia im rozwoju - tak, by jednostki i grupy nie mogły naruszać wolności innych, a prawa jednostek nie mogły stać się podstawą do zbudowania zaborczej władzy.
- (4) Możliwości ustanowienia minimów socjalnych - bez używania metod wrogich inicjatywie i funkcjonowaniu rynku.
- (5) Metody zwalczania nadużywania historii do szerzenia przekonań wrogich wobec wolności.
- (6) Problem stworzenia porządku międzynarodowego prowadzącego do zabezpieczenia pokoju i wolności oraz pozwalającego na ustanowienie harmonijnych międzynarodowych stosunków gospodarczych.

Grupa ta określiła się jako Stowarzyszenie Mont Pelerin. Podkreśla ona, że nie zamierza tworzyć ortodoksji, ani też zakładać lub przyłączać się do jakiegokolwiek partii względnie partii politycznych ani też prowadzić propagandy. Jej jedynym celem jest wymiana idei między podobnie myślącymi uczonymi - w nadziei umocnienia zasad i praktyk wolnego społeczeństwa i zbadania działania, zalet i wad rynkowych systemów ekonomicznych.

Zainteresowanym podajemy adres najpoważniejszego stowarzyszenia, które od czterdziestu niemal lat walczy o swobody polityczne i gospodarcze. Upraszamy, że Mt. Pelerin S-ty nie wysyła paczek ani nie subwencjonuje nikogo, nawet nas!

**The Mont Pelerin Society**  
Edwin J. Feulner, Jr., Treasurer  
P.O. Box 7031  
Alexandria, Virginia 22307 U.S.A.

# KOLIBR

Konserwatywni LIBERAłowie w "Stańczyku" - to zestawienie mówi chyba wystarczająco wiele o nas i o "Kolibrze". Ludzie, myśli i słowa odnajdują w końcu, naturalnym biegiem rzeczy, swe właściwe miejsce. Cieszym się z tego i mamy nadzieję, że nasi Czytelnicy podziеляją naszą radość.

RED.

Maurycy Rojski

## KILKA UWAG O DEMOKRACJI

Wybory do Sejmu znowu postawiły w centrum zainteresowania sprawę demokracji. Jedni zachęcali usilnie do udziału w wyborach, drudzy wzywali do bojkotu, ale dla wszystkich demokracja jest czymś istotnym, wręcz kluczem do rozwiązania naszych problemów.

Oryginalny wkład do dyskusji nad demokracją wniósł p.prof. Leszek Nowak. Na łamach wrocławskiego pisma "Obecność" wysunął on mianowicie projekt demokracji loteryjnej. Jak wiadomo prof. Nowak wzorem swych wielkich poprzedników-Marksa, Trockiego, Waryńskiego, Ciołkosa, Bieruta, Marcusego, Susłowa, Lukacsa, Sorela, Żdanowa, Sartre'a, nawołuje lud do walki z uciskiem klasowym. Walka ta doprowadzi w rezultacie do pełnego i ostatecznego wyzwolenia. Stan pełnego wyzwolenia można będzie utrzymać, jeśli uda się zapobiec odradzaniu klasy władców czyli elity zawodowych lub pół-zawodowych polityków. Temu właśnie ma służyć Wielkie Losowanie. Wyłoniona w drodze losowania grupa obywateli np. jedna trzecia populacji wybiera spośród siebie już poprzez "normalną" procedurę demokratyczną całą hierarchię władzy. Po jakimś czasie następuje losowanie, zmiana ekipy itd.

Koncepcja p.prof.Nowaka jest, przynajmniej to od razu, spójna i dopracowana. Gdyby ją wprowadzić w życie, to zdarzyć by się mogło, że wylosowana grupa składałaby się wyłącznie z elektryków, kucharek, suwnicowych czy magazynierów. W ten sposób spełniłyby się wręcz marzenia p. Engelsa autora znanego horroru pt."Położenie klasy robotniczej w Anglii" i p.Włodzimierza Ułjanowa zwanego popularnie Leninem, którzy pragnęli gorąco, aby nadeszły takie czasy, w których kucharka będzie mogła rządzić państwem. Przypuszczać należy, że wyżej wymienieni myśliciele i działacze międzynarodowego ruchu robotniczego nie mieliby nic przeciwko temu, żeby najwyższy urząd sprawował elektryk czy magazynier - o suwnicowej nie wspominając.

Profesorowi Nowakowi życzę, żeby na chwilę przerwał pasjonujące zapewne studia nad takimi dziełami jak "Państwo i rewolucja" czy "Anty-Dühring" poczytał np. J.S.Milla, który słusznie zwracał uwagę na to, iż "demokracja nie może być w pr a w n a o ile nie zgodzi się na to, aby praca wymagająca wprowa była robiona przez tych, którzy wprawę posiadają".

Redakcja "Obecności" /nr 10/ lansuje własnych kandydatów do



Sejmu. Czytam ich życiorysy i nie mogę oprzeć się wrażeniu jak-  
bym znalazł ten styl: "kierowca mechanicz, czołowy przywódca lu-  
dzi pracy Dolnego Śląska", "mechanik sprzętu przesładowkowego,  
doskonały organizator", "pracował jako spawacz, laureat licznych  
nagród z dziedziny..."

Ale do rzeczy. Wypada się zastanowić, dlaczego tak wielu  
ideologów, polityków lub ludzi do tych ról aspirujących tak czę-  
sto na swych sztandarach hasła demokracji. Na pewno wynika to  
z chwytliwości tychże haseł i ich dość powszechnej akceptacji.

Oplaca się wykorzystywać skłonność mas do samouwielbienia.  
Zapewnianie, że wszyscy powinni i potrafią rządzić, wzbudza zwyk-  
łe, jak każde pochlebstwo, powszechny entuzjazm. Hasła demokra-  
cji służą zwykle również tym, którzy pragną zdobyć władzę. Czym-  
że bowiem innym jest wołanie o demokrację jak nie chęcią całkowite-  
go lub częściowego wymiany starej elity politycznej i powołanie  
nowej. O demokracji mówi się też często wtedy, gdy ludzie odczu-  
wają awersję do słowa "socjalizm". Lansowanie haseł socjalistycz-  
nych byłoby niewygodne wówczas ze względów propagandowych. Za-  
uważamy, że zaraz po wojnie przewodnią siłą Bloku Stronnictw De-  
mokratycznych była... PPR a w USA partią skupiającą socjałów jest  
Partia Demokratyczna. Czołowy ideolog zachodni Niemiec SPD  
Peter Glotz w swej wydanej niedawno książce "Manifest für eine  
neue Europäische Linke" przedstawia projekt socjalizacji Europy  
i nazywa go... "społeczną demokracją".

A co z polską opozycją demokratyczną? Jestem zdania, że  
określenie jak również samookreślenie grup opozycyjnych powsta-  
łych w połowie lat siedemdziesiątych mianem "opozycji demokra-  
tycznej" zaciążyło fatalnie na myśli politycznej w Polsce i świa-  
domości wielu ludzi zaangażowanych w politykę. Stworzone bowiem,  
świadomie lub nie jest to bez znaczenia, fałszywą alternatywę,  
sugerując, że główna linia podziału biegnie pomiędzy demokracją  
a totalitaryzmem i że to właśnie demokracja jest najlepszym  
gwarantem wolności. W taki oto sposób zamazany został podstawo-  
wy konflikt naszej epoki tzn. konflikt między tymi, którzy chcą  
publicznej kontroli nad środkami produkcji /interwencyjniści,  
etatysty, syndykaliści, samorządowi kolektywiści, planiacy  
wszelkich odmian/ a tymi, którzy bronią prywatnej własności środ-  
ków produkcji. Innymi słowy chodzi o konflikt między socjalizmem  
a wolnorynkowym kapitalizmem. W języku używanym przez lewico-  
wych opozycjonistów konfliktu tego nie da się wyartykułować.  
Antytotalitarni socjaliści nie chcą przyjąć do wiadomości, że  
to właśnie tryumfy idei socjalistycznej w Europie i Ameryce umoż-  
liwiły zwycięstwo bolszewików w Rosji podobnie jak działalność  
PPS-u była przygotowaniem rządów PZPR-u.

Ludzie walczący o demokrację a nie popierający kapitalizmu  
tj. nieskrępowanej własności prywatnej, wolnego rynku i wolnej  
przedsiębiorczości zapominają o tym, że, jak zauważył Irving  
Kristol, w historii nie widziano społeczeństwa cieszącego się  
wolnością polityczną, które nie byłoby ufundowane na wolnym sy-  
stemie ekonomicznym to jest systemie opartym na prywatnej wlas-  
ności. Wiara, iż można budować wolność w systemie opartym na  
samorządowym kolektywizmie jest wiarą w utopię, bo "kolektywizm  
jedynie skrywa tyranie" /Ludwig von Mises/.

Ludzie identyfikujący postawę antytotalitarną z walką o de-  
mokrację nie są zapewne w stanie zrozumieć takiego stwierdzenia  
Hayeka: "demokracja, może z powodzeniem dźwżyć władzę totali-  
tarną, jak również - co najmniej wyobraźalne, aby rząd dyktatorski  
działał w myśl zasad liberalnych". Zapaleni zwolennicy zasady

suwerenności ludu i woli powszechnej zapominają łatwo, iż to właśnie te idee Jana Jakuba Rousseau znalazły swe piękne praktyczne rozwinięcie w terrorze jakobinów. Wszystkim przeto demokratom gorąco polecam książkę J.L. Talmona "The Origins of Totalitarian Democracy". Jest ona bardziej pouczająca i ważna dla nas niż okrzyczane i szeroko reklamowane dzieło Hannah Arendt "The Origins of Totalitarianism". Nie może zresztą specjalnie dziwić fakt, że Arendt cieszy się u nas tak wielką renomą. Była wszak gorącą orędowniczką rad robotniczych jako sposobu wyjścia z totalizmu.

W każdym razie z demokracją trzeba ostrożnie. Ostatecznie kamieniom, lincze, rozmaite trybunały rewolucyjne, sądy ludowe /Volksgericht/, zbiorowy ryk: "ukrzyżuj go" to również formy władzy ludu. A dla Zinowiewa doskonałym wyrazem ludowładztwa jest stalinizm.

Z wyników ankiety Ośrodka Badań Opinii Publicznej opublikowanych w prasie rządowej dowiedzieć się można, że jedynie 15% badanych jest za całkowitą reprivatyzacją m a ł y o h /podkreśl. - M.R./ zakładów przemysłowych i usługowych, 63% jest za kierowaniem przez państwo całością spraw gospodarczych, 63% jest za ustaleniem cen przez rząd, 62% preferuje model państwa opiekuńczego. Po cóż więc nam rządy większości, skoro większość chce socjalizmu. Socjalizm to nic innego jak polityka gospodarcza tworzona przez masy. Przeto zamiast oburzać się, że w Polsce nie ma demokracji przemysłowej spokojnie trafne, jak mi się zdaje, sformułowanie Zinowiewa: "Spora część ludności Polski jest przypuszczalnie niezadowolona z socjalistycznego reżimu w aktualnej jego formie, niemniej ogromna większość Polaków akceptuje ten system, inaczej nie by z niego nie zostało".

Z powyższych uwag nikt nie powinien wysuwać pochopnego wniosku, że ja, choć konserwatywny liberał i "monarchista w sercu" /określenie Meinecke'go/ jestem jakimś dogmatycznym i zaciekłym wrogiem demokracji we wszystkich jej przejawach. Owszem nie podobą mi się, że szanowany byzniesmen ma mieć taki sam udział w wyborze rządu co przestępca, któremu przez pomyłkę nie odebrano praw publicznych. Zdumiewa mnie, że taki sam wpływ na losy państwa ma robotnik-solidny fachowiec, który potrafi utrzymać rodzinę i drobny pijaczek kradnący na wódkę rentę swojej matki. Przeraża mnie, że dojrzały i rozważny mężczyzna jest w demokracji tyle samo wart, co nastolatek nie odróżniający republiki od "Republiki". Ale istnieje pewna forma demokracji, która bardzo mi się podoba i którą rad byłbym polecić wszystkim rodzimym bojownikom o wolność i demokrację. Zapewniam, że jest o co walczyć. Demokracja, o której myślę, nie wie co to rządy przeciwników, rutyna i bierność urzędników, kult niekompetencji i arogancja władzy. Tutaj wybrani ani na chwilę nie zapominają o tych, którzy ich wybrali, nie ma problemu "odrywania się od mas". W demokracji, o której mowa, nie można latami trzymać się stołka i głobo podpisując jedynie jakieś nikomu niepotrzebne papiery. Mało się w niej liczy umiejętność mielenia jęzorem na wiecach, mityngach czy w parlamencie. Nieznana jej jest uciążliwa procedura /oczywiście uciążliwa nie dla urzędników - ci ją uwielbiają/ przeciągająca w nieskończoność podjęcie decyzji.

Demokracja ta nie wie co to posiedzenia, sesje i kadencje. Jest ona bowiem nie ustającym ani na chwilę plebiscytem, codziennym głosowaniem na rynku. Zamiast kartek z nazwiskami kandydatów wrzucamy do urny, czyli kasy; złote, dolary, ruble, franki czy korony. I nie musimy się martwić, że ktoś sfałszuje wyniki.



Kogo wybieramy w wolnych wyborach na rynku? Oczywiście najlepszych, tych, którzy najlepiej nam służą sprzedając nam to, czego najbardziej potrzebujemy. W demokracji rynkowej kontrola wybranych przez wyborców jest skuteczna do tego stopnia, że ci, którzy starają się o wybór /- dużo pieniędzy/ muszą spełniać każde, najmłodniejsze nawet życzenia głosujących, ba, muszą je uprzedzać. Kandydaci na bogatych starają się odgadywać najskrytsze, najbardziej kapryśne i wyszukane życzenia konsumentów-wyborców i o najmocniejsze potrafią te życzenia zaspokoić. Ubiegający się o wybór zdobywają wiarygodność nie obietnicami, hasłami czy pełnymi fraszów przemówieniami, lecz jakością towaru lub usługi. Obowiązuje ich pokora wobec konsumenta-suverena na rynku. Zepsute idee, mętne ideologie, utopijne programy długo można wciskać do głów obywateli a polityczni bankruci potrafią bardzo długo trzymać się stołka. W demokracji rynkowej ten, kto dostarcza złe towary bankrutuje szybko i nieodwołalnie. Rotacja ekip następuje samoczynnie i bez zakłóceń, selekcja pozytywna działa niezawodnie.

Jacy więc są ci wybrańcy, owi deputowani cywilizacji, posłowie dobrobytu, których parlamentem jest giełda? Niewątpliwie postulat "najlepsi na szczyt" w demokracji rynkowej przestaje być postulatem a staje się rzeczywistością. Wybrani to ludzie godni szacunku jako ci, którzy pomnożyli swój majątek służąc innym. Jacy są? Oszczędni, zapobiegliwi, przewidujący, pragmatycy o silnej woli i mocnych nerwach, pełni inicjatywy realności o ciągłe nowych planach i projektach, samodzielni, odważni i ostrożni, roztropni eksperymentatorzy i rozsądni ryzykanci /nie dziwnego wszak ryzykują własny majątek a nie przesunięcie na inne stanowisko/, otwarci na sygnały z rynku i nowe idee, dynamiczni, obdarzeni fantazją i ceniący konkret. Cechuje ich niezwykła elastyczność i zdolność dopasowania do ciągle zmieniających się koniunktury, ruchliwość, wyobraźnia kombinatoryczna, upór i zdecydowanie. To jednostki o znakomitej znajomości ludzi i ich zmieniających się potrzeb. Są uczciwi, bo w przeciwieństwie do rozmaitych "dziśniaczy" nie gadają /choć mieliby do tego prawo/ o interesie ogółu, dobru społecznym itp. lecz o swoim zysku. W ich przypadku dbałość o zysk to równocześnie służenie innym, spełnianie ważnego obowiązku jakim jest zaspokajanie ludzkich potrzeb i życzeń. Czyż więc ludzie ci nie zasługują na to, aby ich wybrano-uczyniono bogatymi? Pytanie czysto retoryczne.

Demokracja rynkowa zapewnia nie tylko bezbłędna selekcję pozytywną i właściwy dobór elity lecz przyczynia się również do wytworzenia i utrwalenia pewnych ważnych i wyłącznie pozytywnych cech wyborcy-konsumenta. Paniętać musimy, że wydanie własnych zarobionych pieniędzy jest oznaką najwyższego Kaufania dla tego, kto te pieniądze otrzymuje. Zatem trzeba się zastanowić i wybrać tego kandydata, który naprawdę na nie zasługuje. A Kaufanie konsumenta do przedsiębiorcy, firmy, marki nie ma nic wspólnego ze ślepa wiarą w przywódców politycznych, hasła, które głoszą i w obietnice, które składają. Decyzja o wydaniu własnych pieniędzy to sprawa zbyt poważna, żeby działać lekkomyślnie i ulegać stałemu emocjom. Konieczna jest natomiast chłodna kalkulacja, ostrożność, rozsądek i namysł a równocześnie trzeba reagować szybko i zdecydowanie, jeśli okaże się, że pieniądze zostały wydane w sposób niewłaściwy. W demokracji rynkowej obowiązuje konsumenta roztropność, trzeźwe i praktyczne podejście do rzeczywistości, nastawienie na konkret. Dlatego w demokracji rynkowej nie znajdują szerokiego pola do działania socjalistyczni demagodzy i agitatorzy, różni złotouści, którzy plotą o sprawiedli-

wości społecznej, zawodowi obrońcy robotników, biedaków lub młodzieży, lewicowcy pragnący realizować swoje poronione pomysły, partyjni i związkowi funkcjonariusze, pijacy, narkomani.

Powtórzmy raz jeszcze - wydawanie własnych pieniędzy to nie to samo, co klaskanie na wien, wykrzykiwanie haseł na manifestacjach, wrzucanie kartek do urny. Wydawanie pieniędzy to poważna sprawa.

W demokracji rynkowej nie ma polityki, bo nie ma interesów kolektywnych a jedynie indywidualne. Nie ma również ideologii, bo ideologią jest interes. Propagandę ideologiczną zastępuje... reklama. Ideologia jest pracą w języku, budowaniem abstrakcyjnych całości nie mających żadnego związku z rzeczywistością. Co więcej, ideologia pożera rzeczywistość, niszczy ją. Za ideologicznymi obietnicami czają się zwykle kłamstwo, niewola, bieda, strach, terror lub nicość. W przeciwieństwie do ideologicznej agitacji reklama nigdy nie kłamie pozwalając rzeczywistości wzrastać i kwitnąć. Reklama jest dowodem na istnienie świata, hymnem na cześć materii /i duch, który ją stwarza/, pochwałą piękną i radości życia.

Ci, którzy twierdzą, że reklama kłamie są zwyczajnymi oszczercami. Reklama jak wszystko, co nie jest rzeczywistością samą podobnie obraz, poemat lub rzeźba, może ją odzwierciedlać w sposób mniej lub bardziej doskonały, może nasze oczekiwania spełniać idealnie lub nawet je przekraczać, może też wywołać rozczarowanie i uczucie niedosytu. Ale reklama to pewność, że świat trwa nadal, bo to co reklamowane po prostu **n a p e w n o j e s t**. Czy to mało?

Tym, którym znudziło się już powtarzanie w kółko, że władza dla ludu, że upodmiotowienie społeczeństwa, że demokratyczny socjalizm, że ideały, że Prawda, Wolność i Sprawiedliwość-proponuję garść bardziej rzeczowych haseł. Niechaj bojownicy o demokrację rynkową wypiszą je na swych sztandarach /sztachety wszystkich barw i rozmiarów, specjalność: czerwone, napisy według życzeń klienta poleca firma braci Rybkowskich, Łomża, ul.../:

Honda-idea, z którymi się lepiej jeździ.  
Mercedes-jedność przestrzeni, stylu i wartości.  
Peer Export-smak i charakter.  
Gallus-butyl wolności. Wolność dla Waszych stóp.  
BMW 518-automobil nieznanymi dotąd możliwości.  
Decyzje...decyzje.. Zdecyduj się! Pall Mall!  
Dłuższy, szerszy, większy, wygodniejszy, silniejszy, szybszy, oszczędniejszy, cichszy, pewniejszy, wartościowszy, piękniejszy.  
Nowy Golf. Jesteśmy z niego dumni.  
Stuyvesant-smak naszej generacji.  
Siła i bezpieczeństwo na dwóch kołach-Yamaha.  
Volvo-nowy argument za bezpieczeństwem.  
Kopiarka Toshiba BD 8812- dotknięcie jutra.  
Omega Titan- pewność, że ma się coś cennego.  
Szampon Timotei. Tak delikatny, że możecie myć włosy tak często jak chcecie.  
Campari. A cóżby innego.  
To, co się robi raz w życiu, trzeba robić z właściwym partnerem.  
Commerzbank. Bank po twojej stronie.  
Marlboro-smak wolności i przygody.

P.S.

Zwolennikom tezy, że związki zawodowe przyczyniają się do lepszego funkcjonowania demokracji dedykuję słowa Ludwiga von Misesa z jego wspaniałej książki "Gospodarka kolektywna" wydanej ponad pół wieku temu: "Nawet jeśli przyjęła inne formy prawne i organizacyjne, jest władza sowiecka niczym innym jak naturalną i historyczną konsekwencją ruchu związkowego".



## REWOLUCJA, PAŃSTWO,

Dość często spotkać się można z przekonaniem, że obalenie obecnej władzy stworzy możliwość do zapanowania w Polsce porządku politycznego opartego na wolności jednostki. Dyskusja z tego typu poglądami jest bardzo utrudniona ze względu na brak precyzji, całkowitą niejasność i mgłą wyobrażeń na temat przyszłego kształtu naszego kraju.

Jeden tylko przykład: "powtarzam więc - budujemy coś czego jeszcze nie umiemy nazwać, naszą świadomość, orientację na wartości: prawdę, wolność, równość, sprawiedliwość. I niepodległość, ale różną od nacjonalizmu." /W. Frągnik, Konspira, str. 83/

Ale są też tacy - chodzi o publicystów skupionych wokół pisma "Niepodległość" - których program jest bardziej konkretny. Otóż twierdzą oni, że po obaleniu władzy można będzie wprowadzić w Polsce wolnorynkowy kapitalizm. Mamy więc w tym przypadku do czynienia z liberałami-rewolucjonistami. Czy aby jednak takie połączenie nie jest li tylko niewydarzoną hybrydą, mechanicznym zestawieniem sprzecznych elementów, próbą pogodzenia ognia z wodą? Wydaje mi się, że tak właśnie jest.

W wywiadzie dla czasopisma "Karta" /1984 nr 2/ przedstawiciele "Niepodległości" powiedzieli m.in.:

"Następnie rozważaliśmy różne koncepcje programowe modelu społeczeństwa i państwa, jakie sobie wyobrażamy po jakimś punkcie zerowym /podkreślenie moje R.K./, w którym może być ogólny upadek systemu sowieckiego, czy też duże trudności w Związku Radzieckim."

Przeświadczenie, że istnieją w historii jakieś punkty zerowe, że można wszystko zacząć od początku jest ewidentnym przykładem myślenia lewicowego, tak często, przy innych okazjach, krytykowanego na łamach "Niepodległości". Liberałowie-rewolucjonisci mylą się, że poprzez wyzwolenie energii mas w celu obalenia władzy uda im się obalić socjalizm. Rewolucja nie tylko że nie zlikwiduje socjalizmu ale jeszcze go wzmocni. Rację ma Janusz Korwin-Mikke, gdy pisze: "Naszym celem jest zniszczenie socjalizmu, a z teorii wiemy, że po rewolucji socjalizacja rośnie a nie maleje" /J.K.-M. versus MN, str.9/. Ale wiemy o tym nie tylko z teorii lecz również z historii. Zjawisku wzrostu ingerencji władzy politycznej w sferze gospodarki podczas rewolucji i później, sporo uwagi poświęcił prof. Pitrim Sorokin w książce "Socjologia rewolucji", bez której zapewne nie powstałby ten artykuł.

Myślenie rewolucjonistów jest myśleniem typu konstruktywistycznego, tzn. na miejsce znielowanego systemu politycznego pragną oni wstawić system całkiem nowy i całkiem odmienny. Pragną oni dawną władzę, dawną armię, dawną policję i dawny aparat państwowy zastąpić nową władzą, nową armią, nową policją i nowym aparatem państwowym. Skala takiego zamierza wymaga koncentracji władzy politycznej, co przynosi wzmocnienie despotycznej władzy państwa, przewyższającą pod każdym względem poprzedni reżim.

Jednakże, bardziej chyba istotnym, czynnikiem wzrostu ingerencji państwa w sferze gospodarczej jest oddolna presja zrewoltowanych mas.

Każdej rewolucji towarzyszy pogorszenie sytuacji gospodarczej, wynikające z skrócenia czasu pracy i spadku wydajności. Wydajność pracy maleje z kilku powodów: całą energię zabiera człowiekowi walka; nie troszczy się on o jutro, gdyż wierzy, że rewolucja przyniesie rozwiązanie wszystkich problemów; ma on nadzieję, że podział nagromadzonych przez innych bogactw, polepszy jego sytuację; biorąc udział w strajkach, uczestnicząc w niekończących się zebraniach i obradach samorządów lub innych podobnych ciał nie ma czasu by pracować. Kryzys gospodarczy powoduje ubożenie mas i powstawanie szybko rosnących nierówności materialnych. Dodajmy do tego aspiracje rozbudzone przez demagogię socjalną i wzmocnione przez całkowicie nierealne obietnice składane przez rewolucjonistów. To wszystko sprawia, że powszechne staje się wołanie o silny rząd, który wszystko załatwi, zmieni, zapiekuje się, polepszy zaopatrzenie, zabierze spekulantom i bogaczom, da po równo. Wszyscy krzyczą: "Dlaczego rząd nie robi, żeby było więcej mięsa"

lub "Rząd musi natychmiast coś zrobić w tej sprawie". I rząd robi, rozszerzając zakres swej ingerencji. Przyjmowana jest ona z radością, gdyż ludzie, przez bieg wydarzeń pozostawieni sami sobie, pełni lęku o swój byt, wobec chaosu spowodowanego upadkiem dawego porządku, nie potrafiący liczyć na własne siły, szukają oparcia, opieki, pomocy. Jedynie państwo może im tę opiekę zapewnić. Oczywiście za cenę ograniczenia wolności. Ale potrzeba bezpieczeństwa jest często silniejsza, niż potrzeba wolności.

Przyjrzyjmy się, tytułem przykładu, rewolucji francuskiej 1789 roku. Wielu historyków zwraca uwagę na fakt, iż przedstawiciele władzy rewolucyjnej, a przynajmniej niektórzy z nich, nie byli wcale zwolennikami ingerencji państwa w gospodarce. Saint-Just miał powiedzieć: "Wcale nie gustuję w gwałtownych wstawach reglamentujących handel". Autorzy "Historii Francji" /Warszawa, 1969/ sądzą, że rząd starał się raczej zmniejszyć etatyzm. Dlatego więc stało się zupełnie inaczej.

"Zimą 1791 roku coraz częściej wybuchały rozruchy. Domagano się reglamentacji i nade wszystko ustalenia cen. W listopadzie 1792 dwale i szklarze z Perche zaszli do Beauce, żeby wprowadzić ceny stałe. /.../ Przywódcy ludu - zwłaszcza "wściekli" - domagali się ustalenia cen maksymalnych na artykuły spożywcze". Jak piszą Markov i Soboul, w swojej książce "Wielka Rewolucja Francuzów", klasy ludowe przywiązane były do systemu reglamentacji i ustalania cen. Komitet Ocalenia Publicznego, "spełniając życzenie ludu", wprowadził tzw powszechne maximum. Wprowadzono ceny maksymalne na podstawowe artykuły spożywcze i określono górny pułap płac. Jak to ujmują Baszkiewicz i Meller, "powszechne maksimum było postulatem ludowym, który jakobinśka burżuazja przyjęła z ociąganiem i niechęcią". Lud nie czekał zresztą na urzędowe zatwierdzenie swych pomysłów i sam ustalał takie ceny, jakie uważał za sprawiedliwe. Np. w Paryżu tłum wdierał się do magazynów bogatych kupców kolonialnych i sprzedawał cukier sam sobie po cenach, jakie uważano za słuszne. Były to tzw. ludowe taksacje. Żądano także rozszerzenia systemu kartkowego. Pojawiły się kartki na chleb i bory na cukier. Kluby ludowe domagały się ustalenia górnej granicy majątkowej i wydania zakazu spożywania wystawnych posiłków w oberażach i restauracjach /1/. Wprowadzenie urzędowych cen na artykuły spożywcze i reglamentacja handlu sprawiają, że kwitnie spekulacja. Mnóżą się żądania kary śmierci dla spekulantów. I ten postulat został spełniony, chodźło bowiem, jak piszą Baszkiewicz i Meller, o "uspokojenie opinii ludowej". Sankciuloci paryscy domagają się powołania sądu dla przestępców gospodarczych z ubogimi w roli przysięgłych. Herbertyści natomiast wymyślili, że najlepszym sposobem na zlikwidowanie bezrobocia jest utworzenie armii rewolucyjnej. Tak stopniowo zwyciężał we Francji socjalizm. Urzędowe ceny zboża wymagały z konieczności nacjonalizacji handlu zagranicznego. Powstały manufaktury państwowe a niektórzy, np. herbertyści, dążyli do upaństwowienia prywatnych, bo całkiem słusznie uważali, że tylko taki zabieg zagwarantuje w pełni realizację cen maksymalnych. Egzekwowanie ustawy o cenach maksymalnych wymagało coraz większej centralizacji. Zaczyna dominować typ gospodarki planowej, nakazowo-rozdzielczej z elementami uspołecznienia, czy jak kto woli upaństwowienia. Dochodzi do zamieszek na tle trudności gospodarczych i różnic pomiędzy regionami, robotnicy nie respektują maksimum płacowego i strajkują o podwyżki. Utworzona zostaje komisja sprawozdawcza, która obejmuje kontrolę nad całą gospodarką a jej przedstawiciele wyposażeni zostają w nieograniczone uprawnienia. Wypada zgodzić się z Markovem i Soboulem, którzy piszą, że to hasło ludowe przyczyniły się do wprowadzenia gospodarki kierowanej, i że to "nacisk mas ludowych sprawił, że terror utrwalił się na płaszczyźnie politycznej dzięki ustawie o podejrzanym, na ekonomicznej zaś dzięki powszechnemu maksimum". Tak, tak Panowie z Liberalno-Demokratycznej Partii "Niepodległość", rewolucja to nie spacer po Nowskim Prospektie.

Ludowe postulaty sprawiedliwości społecznej starano się realizować we Francji również podczas rewolucji 1848 roku. Pełne zatrudnienie miało być zapewnione dzięki utworzeniu warsztatów narodowych, w których robotnicy otrzymywali jednolity zarobek dzienny w wysokości 2 franków. Ponieważ war-



ształy te funkcjonowały tak samo, jak wszystko, co jest własnością społeczną, dochodziło do czystych przestojów. Pracowano niekiedy co czwarty dzień. Za dni bez pracy robotnicy otrzymywali jednego franka. Napływ pracowników z zakładów prywatnych do warsztatów narodowych był tak duży, a bunelantwo tak powszechne, że Wiktor Hugo stwierdził z rozpaczą: "W monarchii było wielu ludzi, którzy nic nie robili, ale czy to możliwe, żeby republika dostarczyła nam tylu próżniaków?" Niestety było to i jest nadal możliwe, szkoda tylko, że autor "Wędzników" nie zastanowił się nad tym trochę wcześniej zanim rzucił się w ognień walki rewolucyjnej. No, ale wtedy nie mieliśmy zapewne okazji by urządzić zjeżdż nad losem paryskiego Gavroche'a.

W 1848 roku powstały plany wielkich robót publicznych /por. politykę Roosevelta i Hitlera/, liczne były głosy domagające się nacjonalizacji przedsiębiorstw. Minister finansów Garnier-Pages, choć nie socjalista, wysłuchiwał z propozycją podatku progresywnego i nacjonalizacji kolei i ubezpieczeń. W tym samym okresie tworzono w Wiedniu przedsiębiorstwa państwowe, w których ok. 50 tys. ludzi nic nie robiło. Wszystkie wezwania, iż należy pracować dla sprawy rewolucji, wolności, w imię wspólnego dobra nie skutkowały. Na szczęście tzw. Wiosna Ludów trwała krótko. Strach pomyśleć co by się działo, gdyby nadeszło lato Ludów. W końcu nadeszło, ale udało się jego nadejście opóźnić.

Sorokin w "Socjologii rewolucji", śledząc przejawy wzrostu etatyzmu, powodowanego przez zaburzenia rewolucyjne, cofa się w głąb przeszłości dowodząc, że zmniejszenie autonomii jednostki i zwiększenie centralizacji władzy państwowej nastąpiło po rewolucjach w starożytnej Grecji i Rzymie, rewolucjach XIV i XV wieku we Francji i XVII w. w Rosji.

Rewolucja husycka w Czechach przyniosła oprócz konfiskat mienia /obejmujących najpierw emigrantów, Niemców, duchownych i przeciwników husytów a później po prostu ludzi bogatych/ ścisłą reglamentację odzienia, żywności i zatrudnienia /nie dziwnego, że jeden z historyków niemieckich nazwał Husa prekursorem Lenina/.

W czasie Rewolucji Angielskiej XVII-go wieku doszło do ograniczenia swobody handlu i do wojny z kupcami, toczonej przy pomocy arbitralnego opodatkowania, przymusowych pożyczek /tyko to następstwo deficytu budżetowego/. Wprowadzono urzędowe ceny na niektóre towary. Pojawiły się rządowe monopole.

Sorokin uważa także, że po roku 1923, a więc roku puczu, rewolucyjnych ruchów separatystycznych następuje w Niemczech zwiększenie dawki etatyzmu.

W Polsce szczytem etatyzmu była militaryzacja gospodarki po 13 grudnia 1981 roku. Ale, zakładając, że 12 grudnia ułożyły się obalić reżim i jakimś cudem władzę objęli liberalizatorzy z kręgu późniejszej "Niepodległości", to musieliby zrobić to samo co generał Jaruzelski. W przeciwnym razie ich rządy trwałyby jedynie do pierwszego strajku generalnego, zorganizowanego przez NSZZ-ty.

Zanim więc rozpada się imperium rosyjskie i na jego gruzach przyjdzie rewolucyjnym liberałom /razem z tęskniącymi za wolnym rynkiem ludami b. ZSRR/ budować nowy ład, niech odpowiedzą na kilka pytań:

1. Skąd wziąć pieniądze na pokrycie kosztów rewolucji?
  2. Czy można kolektywnie buntować się przeciw kolektywizmowi?
  3. Jak sprawić żeby rewolucja, będąca buntem mas nie odbywała się pod hasłem "najgorsi na szczyt"?
  4. Czy warto mobilizować miliony ludzi do walki o wolność skoro, jak zauważył lord Acton, "szczerze przyjać wolności jest zawsze mało, a jej triumfy były dziełem mniejszości"?
  5. Czy mają nadal zamiar zwiększać etatyzm w Polsce poprzez zwiększenie etatyzmu / = koncepcja państwa podziemnego / ?
- Na koniec życzyć przyjać wolności z L-D P "Niepodległość" serych sukcesów i proponuje "rozwój - ale oddzielny". Niechaj każdy sobie Roepke skrobie.

Roman Kierski

# "ŚWIĘTE KROWY"

Niezliczona jest liczba zalet, do których roszczą sobie pretensje nasi intelektualisci. Rząd ani myśli którejkolwiek z nich im odmawiać - a w zamian za lojalność - folguje ich eksperymentom czyniorym na dziele polskiego gospodarstwa. Intelektualisci polscy to ów żądnący wody poborowy, który posiada teorię pływania. Rząd zaś - to kapłan wiążący wstęgą wierności dożgonnej powatną kibic intelektualną i niesympatyczne zgoda lyse czoło technokratyczne. Zdawałoby się nic skusniejszego jak ożenić intelektualną wizję z technokratyczną, inżynierską pasją - maksimum celów wypełnić realizmem środków.

Ale rząd programu nie posiada, bowiem rząd program swój już zrealizował! Obecnie szata lojalności i ogólnopozytywnego stosunku do państwa starcza mu za wszelki polityczny program. Tak pojęty solidaryzm nie potrzebuje realnych wyborów, pociąga go moralizowanie jednością i w imię jedności nieopacznie dokonuje zabiegu rozbięcia, otwiera drzwi dla intelektualnej akceptacji, zamurując wszelako okna dla intelektualnej rewizji - sam się pozawia weryfikacji swej polityki, legitymację skusności zastępuje legitymacją przynależności i poskuszeństwa.

Jeśli na inteligencję polską - jak chce p. JKM - składają się intelektualiści plus pół-inteligenci plus ćwierć-inteligenci - w takim stanie rzeczy - rosną szanse ostatnich wdrapania się na piedestał, na którym tkwią ci pierwsi.

Solidaryzmowi rządu odpowiada aïrebouras zasadniczej części opozycji. Widzimy tedy z jednej strony, chowanie się pod opiekunkic skrzydła rządu, z drugiej zaś, pod miłosierne skrzydła Kościoła. Pokora wobec państwa z jednej, pokora wobec Kościoła z drugiej - obie postawy intelektualistów jako surogat względnej niezależności i intelektualnej niepokory. Kto zachowuje niezależność nie jest solidarny, łamie idee fixe obu stron, przestaje liczyć się w grze.

W rękach rządu znajduje się rozwiązanie intelektualnego pata. Rząd bowiem posiada środki i wcale liczne powody by uczynić wiele w tym kierunku. Na czym polega interes rządu? Wszak on ma przecież - powie potencjalny polemista - wielu znamienitych, oddanych mu sercem i umysłem intelektualistów, na tyle licznych i na tyle silnych, by stworzyć wrażenie własnej zupełności i własnej wyjątkowości. Otóż właśnie, jak mniemam, owo poczucie siły i bezkarności, owa pewność udziału za niewielką przecież cenę lojalności - monopol na "rząd nad rządem" - oto jest główne zagrożenie dla koncepcji rządu, mających przekraczać tak mityczne poczucie solidarności, jak i swoistą polityczną schizofrenię, w którą wpędzają rząd "absolutne rządy filozofów"! Interes rządu polega na tym, by wobec nieuchronnego fiaska reformy i plajty rutynowego stylu myślenia, powołać do życia myśl nową, śmiałą, odważną, która stanowiłaby realną odpowiedź na realne zagrożenie i problem Polski nr 1 - polską gospodarkę.

Rząd miał liczyćwać się z resztkami "Solidarności" o szczerść uczucia żywionego wobec klasy robotniczej, miał zachowywać się u steru tak jakby zasiadał na opozycji - podcinając niejako gałąź na której siedzi - winien oprócz swoje mury na fundamentie nie wyrastającym ni z korzyści klasy, ni jakiegokolwiek grupy społecznej - lecz na aksjomacie interesu państwa i dobrotytu społeczeństwa. Rząd musi szukać związku z intelektem, który bronił będzie granic możliwości państwa przed radykalizmem, tak społecznym, jak i narodowym. Jak zatem to uczynić?

Wydaje się, że wzorca w tym przedmiocie dostarczają rządowi zmiany oblicza politycznego opozycji polskiej, na tyle realne, iż - przypuszczać można - trwałe i nieodwracalne. W łonie opozycji dokonał się dziejowy akt złamania monopolu lewicowych intelektualistów - prawica polska wyłamała szeroko zamknięte dotąd drzwi! Otóż największą zasługą prawicy polskiej jest złamanie tyranii status quo - tyranii solidaryzmu, jako surogatu politycznego myślenia. Pojawia się odpowiedzialna, szukająca swej szansy i swej odpowiedzialności myśl polityczna. Prawica tworzy wyłom, burzy



monopolistyczną dotąd filozofię destrukcyjnej dotąd opozycji - szykuje bowiem przesłanki dla opozycji Jego Królewskiej Mości! W interesie rządu dyktującego w kierunku odrzucenia balastu solidarności filozofii, tyranii filozofów - jest - tę inicjatywę nie zabijać, owszem szukać w niej alternatywy wobec ekonomicznie niewydolnego: "melduję posłuszenie!", jak i wobec demoralizującego: "im gorzej tym lepiej". Złamanie monopolu, tyranii intelektualistów rządowych, nie hodowanie świętych krów - oto najlepszy środek na drodze ku myśleniu politycznemu. Archimedesowym punktem oparcia dla rządu może być jeno ... wolny rynek myśli. Dopiero wolny rynek przewartościuje pewne obiegowe pojęcia na rolę i zadania intelektualistów, uwolni rząd od ich obsesji i przekonania o misji życia sumieniem narodu! Wolny rynek potraktuje ich jako obiekt do kupienia, można ich będzie kupić i na potrzeby armii i na potrzeby gospodarki, z pewnością zjawia się w kulturze. Rząd na wolnym rynku znajdzie swoich prorządowych intelektualistów, tylko bez obawy o własne psychiczne zdrowie i za cenę uznania poglądów odmiennych. Te, choć krytyczne, choć być szanowane, nie będą się nigdy ukrywać za fikcją solidaryzmu lub ekskluzywizmem klasowych rozszczeń.

Emil Dominik

Zenon SKARGILL

## MARTWA NATURA

Będzie to polemika z G. Tak bowiem podpisał autor swój tekst "O neoliberalnej utopii" zamieszczony w numerze 3 /czerwcowo-lipcowy/ pisma polityczno-społecznego Solidarności Walczącej - "Walka".

Moja polemika z G. jest odpowiedzią na krytykę poglądów Aleksandra Popiela, wyrażonych w artykule "Jak pomagać słabszym".

Dla wielu poniższe uwagi zabrzmią stereotypowo. Mamy bowiem, na przykładzie G., do czynienia z pełną niezręcznością i nieporozumieniem próbą zakwestionowania stanowiska liberalnego. Autor w pełni reprezentuje to, co zwykło określać się, jako lewicową mentalność /lewytyzm/. Oto jej przykłady.

Autora gorzej próby racjonalizacji cen w naszym kraju /podwyżki cen żywności i inne/ aprobowane przez Popiela. Jedyne, co owym próbom można zarzucić to to, że są one podejmowane niekonsekwentnie, a to ze względu na opinię publiczną, której przedstawiciele wolą wystawać w kolejkach, zamiast zarabiać w tym czasie pieniądze.

G. pisze, że progresywne opodatkowanie, przeciwko któremu tak gorąco opowiada Popiel, nie jest ogołoceniem społeczeństwa z funduszy przeznaczonych na akumulację. Na poparcie swej tezy G. podaje tytułem przykładu "szwedzkie osiedla domków robotniczych" oraz "tamtejsze świadczenia emerytalne i dla dzieci i dla młodzieży" /a jakże! Czytający się nie pomylił, G. pisze o emeryturach dla dzieci ... Ot taka "czynność omyłkowa" jak mawiał dr Fraud/. Podatek progresywny był i pozostanie karą za osiągnięcie wysokiej produktywności. I jako taki zabija przedsiębiorczość, główny motor rozwoju społeczeństwa. Podatek progresywny nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością /tak skądinąd hołubioną przez G./, której podstawą jest właśnie sprawiedliwe opodatkowanie. Arbitralność i niesprawiedliwość podatku progresywnego uniemożliwiają jednostkom dążenie uczciwą drogą do wybranych przez nie celów. W takim przypadku nie może być mowy o zdrowym i wolnym społeczeństwie.

G. nie zgadza się z twierdzeniem, iż wykorzystanie szans życiowych przez człowieka zależy jedynie od niego samego. Jest w tym nastawieniu coś z instynktu gromadźcy, który jedynie w hordzie potrafi dać sobie radę w życiu. Przekonanie o niemocy jednostki wyraża jedynie pogardę dla niej i dla jej wysiłków w grze z Naturą, światem czy innymi ludźmi. Zgódźmy się, że ma to nie wiele wspólnego z wartościami antyku czy chrześcijaństwa, w które powołuje się G.. O tym jak pomagać słabszym, chorym, kalekom itd. pisał Popiel w tekście, do którego odyżam.

G. zarzuca Popielowi, iż ten nie widzi istotnych różnic między biurokracją państwa opiekuńczego czy też biurokracją wielkiego koncernu na np. biurokracją państwa Pol-Pota. Otóż istota biurokracji wygląda tak samo we wszystkich przypadkach. Jest nią zniewolenie jednostki. Różnice polegają jedynie na tym, że niekiedy, jak pisał de Tocqueville, "potworność zaady przykrywa łagodność praktyki". Uważam totalitaryzm szwedzki za okrutniejszy od pol-potyzmu dlatego, że przy istnieniu takiego systemu, jak szwedzkie welfare state, ubezwłasnowolnienie może postępować w nieskończoność.

Szczególnie oburza G. to, co pisze Popiel na temat relacji pomiędzy filantropią a państwem opiekuńczym. G. z żarliwością, świadcząca o jego dobrym sercu, dowodzi, że "są dobra i świadczenia, do których człowiek ma prawo /podkreślenie G./ przez sam fakt swego istnienia i prawo to winno być zagwarantowane, nie może być kwestią otwartą, zależną jedynie od czyjejś dobrej woli". Wierzącym i niewierzącym, a nie tylko liberałom wrocy stają dęba na głowie, gdy czytają takie deklaracje. Otóż G. sugeruje ni mniej ni więcej tylko konieczność zastosowania przymusu państwowego w celu skłonięcia ludzi do miłosierdzia. Nie chcesz dać na biednych z własnej woli, to zrobi to za ciebie poborca podatkowy. A jeśli nie chcesz być miłosierny, jeśli nie chcesz wspomagać biednych, to pójdziesz do więzienia za uchylanie się od płacenia podatków. Masz więc wolność wyboru: okazanie miłosierdzia albo kryminal. I tak spod powłoki humanitarnych frazesów i patetycznych wyznań miłości do pokrzywdzonych i poniżonych ukazuje się wcale nie "dobrośliwe oblicze despoty".

G. dokonuje degradacji pojęcia miłosierdzia nie odstrzegając, że musi być ono dobrowolne, aby zachować swój istotny sens. Ale degradacji a właściwie likwidacji ulega coś jeszcze. Jeśli bowiem jakieś świadczenia i dobra nie zależą od woli wolnej ofiarodowcy, lecz są jego obowiązkiem wobec innych ludzi, to ludzie xi zaczynają traktować uzyskanie owych dóbr i świadczeń, jako wynik całkowicie uzasadnionego roszczenia. Znika wówczas chrześcijańska cnota pokory. Natomiast coraz częściej słyszy się: "Muszę dać, bo jak nie..." lub "A co, nie należy mi się?"

Oczywiście dla liberałów istnieje dobro, do którego człowiek ma prawo przez sam fakt swego istnienia. Dobrem tym jest swoboda "używania swych człowieczych zdolności, ty zdobywać pokarm, odzież, schronienie i opiekę lekarską albo własnym przemysłem, albo przez dobrowolną współpracę z innymi."

Zabawne rzeczy wypisuje G. polemizując z Popielem na temat płacy minimalnej. Uważa mianowicie, że przyczyną wzrostu płacy minimalnej była galopująca inflacja. Na to niewiele wspólnego z prawdą. G. myli przyczynę i skutek. Płaca minimalna zrodziła masowe bezrobocie, które z kolei pociągało za sobą wypłaty z funduszo świadczeń socjalnych na zasiłki. Środki na cele socjalne biorą się z podatków i znikąd, czyli z dodruku pieniędzy. Gdy kran z podatkami zaczyna ledwo ciurkać, czarownicy plenienni zwani skądinąd "ekonomistami" lub "ministrami gospodarki" rozpoczynają szatańskie zabiegi wokół maszyny drukarskiej. W efekcie mamy inflację, która w końcu "stymuluje wzrost zasiłku" itd., itd..

Jako typowe babskie gadanie czy, jak kto woli, chciejstow należy uznać przekonanie G., że kosztów inflacji nie powinien ponieść robotnik najemny /pod takim hasłem wygra G. każde demokratyczne wybory/. Godziwa płaca minimalna, zasiłek dla bezrobotnych, gwarantujący wysoką jakość życia i zdrowia gospodarza - oto połączenie godne autora science-fiction.

Ciągoty w kierunku myślenia nadrealnego zdradza G. pisząc, że założenie przez Popieła o niemożliwości całkowitego wyeliminowania ubóstwa hic et nunc, "pozwała na spokojnie patrzeć na niemiłokione wzdęte brzuchy dzieci Etiopii w takt "We are the world". Niepoinformowanym wyjaśniam, że chodzi o szlager, śpiewany przez najlepszych amerykańskich piosenkarzy, którzy cały dochód z tego utworu, a także dochód z wielkiego koncertu, w którym brali udział, przeznaczili na rzecz głodujących w Afryce. Właśnie sytuacja na tym kontynencie powinna skłonić każdego człowieka wrażliwego na cudzą niedolę do zastanowienia. Otóż w latach 1978-1982 Etiopia otrzymała ponad miliard dolarów / po dokładniej sze liczyb odsyłam do prasy zachodniej / w formie kredytów i bezwrotnej pomocy. I co ? okazało się, że całą pomoc diabli



wzięli. Etiopia nie jest zresztą wyjątkiem. W wielu krajach Czarnego Lądu pomoc udzielana przez Zachód została rozkradziona lub roztrwoniona przez tamtejsze biurokracje, które powstały po zrzuconiu "jarmu kolonializmu" albo użyto jej na sfinansowanie rozmaitych socjalistycznych eksperymentów, np. w Tanzanii, gdzie pomoc Zachodu przeznaczono na kolektywizację rolnictwa. Są natomiast na świecie kraje, uchodzące niegdyś za siedlisko nędzy, które ożyły się bez sutych dotacji i własną przedsiębiorczością doszły do zamożności. Tym, którzy są ciekawi o jakie państwa chodzi zwracam uwagę na Azję Południowo-Wschodnią. Wielu ludzi, np. amerykański konserwatysta G. Gilder, uważa zwycięstwo kapitalizmu w tamtych rejonie świata za najważniejsze wydarzenie po II wojnie światowej. A jak to się dzieje, że Hindusi, Klepiący, będą pod rządami nieboszczeni Indiry, po osiedleniu się np. w RPA awansowali do elity tamtejszych sfer handlowo-przemysłowych? Czy ktoś im pomagał? Jeszcze raz objawia G. zarówno niezrozumienie istoty problemów, jak i niewrażliwość na położenie biednych, wtrąconych w nędzę przez złe rządy.

G. nie pojął na czym polega proponowana przez Popiela idea zastąpienia systemu świadczeń socjalnych przez tzw. workfare. Jeśli pomoc ma być dobrowolna powinna być świadczona przez bezpośrednio zainteresowanych. Workfare to stawka na samorządzie lokalne-miejskie, gminne itp. Jednym słowem dawca ma możliwość realnego wpływu na sposób rozdziału wpłacanych przez siebie pieniędzy. Nie ma to nic wspólnego z robotami publicznymi, organizowanymi przez władze lokalne, jak to odczytał G... Być może nieporozumienie było wynikiem lakoniczności stwierdzeń Popiela. Cała nienawiść lewicy amerykańskiej wobec workfare /praktykowanego zresztą na niewielką skalę/ skierowana jest przeciw zasadzie dysponowania funduszami przez społeczność lokalną. Lewica wie, że "straszni drobnomieszczaństwo" nie zechcą utrzymywać całej watahy "pracowników federalnej opieki społecznej". Lewica doskonale zdaje sobie sprawę, że powszechne przyjęcie workfare stanowiłoby egzystencjalne zagrożenie dla ok. 10 mln. wysokopłatnych "socjalnych". W obliczu grożącego im bezrobocia "socjalni" sięgają po każdy środek, uciekając się nawet do oszczerstw.

Nie wiem jak w katalogu lewackich odchyśleń /od zdrowego rozsądku/ zaklasyfikować zdanie G., że reprezentowana przez Popiela koncepcja "jest to punkt widzenia silnych, skierowany przeciw słabym. Na szczęście ci społecznie słabi potrafią czasem łączyć się we własnej obronie, równoważąc przewagę silnych". Przypomina mi to - wciąż groźne ostrzeżenia powtarzane przez socjalektów pod adresem wolnych społeczeństw, że niech no tylko "awangarda" urosnie w siłę a nie obejdzie się bez łapania kości.

Na koniec wypada mi zgodzić się z G., który uważa liberalizm za intelektualną rozrywkę. Liberalizm po prostu jest nie do pomyślenia bez aktywnego udziału rozumu. Porównywanie reform liberalnych w Polsce Ludowej do "Utopii" Morusa może przekonać jedynie tych, którzy nie znają ani liberalizmu, ani dzieła Morusa.

Na tym wypadałoby zakończyć, gdyby autor polemiki z Popielem w tym miejscu napisał ostatnią linijkę. A jednak: G. zdążył jeszcze odesłać liberałów do... nie, nie! Nie do wszystkich diabłów, lecz do kawiarni, aby tam rozstrząsali swoje neoliberalne pomysły. Tym razem G. ucieszył mnie wielce, bowiem jego intelekt zaczął /szkoda, że dopiero pod koniec/ pracować na najwyższych obrotach. G. Ma rację nie proponując liberałom, żeby udali się na wiec, manifestację lub inną konspiracyjną masówkę /pardon, chciałem powiedzieć o mas, boś "liczą się tylko masy"/ aby zaczerpnąć PRAWIDŁ u źródeł.

Dziękuję za uwagę i kłaniam się nisko Zenon Skargil

P.S. Zgadza się z sugestią G., iż Lassalle jest doskonałym przykładem demagoga.

Ryszard KOMORNICKI

## SOCJALIZM WIĘZIENNY

Nie pragnę iść do więzienia. Taka stanowcza deklaracja nikogo zapewne nie zaskoczy, bo na ogół mało kto chce na dłużej odwiedzić tę starodawną i zasłużoną

na dla rodzaju ludzkiego instytucję. Gdy jednak zapytać o powody tej niechęci uzyskamy w odpowiedzi, że więzienie ogranicza wolność, że wszędzie mury, kraty i strażnicy, że nie można robić tego czego się chce ale trzeba spać, jeść i poruszać się według regulaminu.

Ja jednak boję się więzienia z nieco innych powodów i gdzie indziej widziałbym zagrożenie dla swojej wolności. Wiezienie, a raczej władze więzienne, pozbawiając nas swobody ruchów jednocześnie opiekują się nami, a uniemożliwiają nam normalne życie pośród innych ludzi, chronią nas przed trudem walki o byt. W więzieniu obowiązują minimum socjalne i wszyscy dostają po równo. Administracja ma dbać o to, żeby nikt nie był głodny i niedziarsy. Paradoksalnie, więzienie może zapewnić większe bezpieczeństwo, uwolnić od konieczności podejmowania ryzyka i stawiania czoła życiu. Wtedy więzienie staje się miejscem azylu, oazą spokoju, obrazem egzystencji, niezbyt wprawdzie komfortowej, ale za to takiej, w której indywidualny wysiłek, poczucie obowiązku i odpowiedzialności, hart ducha i dyscyplina moralna niewiele zajmują miejsca.

W więzieniu wielu rzeczy nie wolno, ale co szczególnie niebezpieczne - to zakaz produkowania, kupowania i wymiany dóbr oraz usług. Dlatego więźniowie, a piszę o więźniach politycznych, im dłużej siedzą, tym bardziej naturalny jest dla nich mechanizm ogólnie sterowanej dystrybucji. Dodajmy do tego zastąpienie swobodnej cyrkulacji pieniądza instytucją wypisków a obraz będzie w miarę pełny. I nie pocieszajmy się tym, że handel między więźniami politycznymi a strażnikami może stanowić ten fragment rzeczywistości więziennej, w którym obowiązuje etyka kontraktu - fundament wolnego społeczeństwa.

Opieka nad więźniami nie jest jedynie domeną administracji. Więźniowie polityczni, których, w stosunku do więźniów kryminalnych, jest zwykle bardzo niewiele, skupiają na sobie uwagę tzw. opinii publicznej, stając się przez to kimś szczególnie ważnym i godnym opieki. Roszczenia więźniów politycznych do opieki, wynikające z ich roli cierpiących za Wolność, napotyka na życzliwość wielu ludzi, instytucji charytatywnych, Kościoła i oczywiście partii czy organizacji, do której należą.

Wydaje się, że wraz ze wzrostem opieki liczba więźniów politycznych raczej rośnie niż maleje.

Uzupełnienie reglamentowanej konsumpcji i opieki, sprawowanej przez biurokrację więzienną, różnymi instytucjonalnymi formami pomocy z zewnątrz mogą utrwalić w więźniach przekonanie, że strunien dóbr, kierowany jest do tych, którzy na nie z jakis względów "zasługują" a nie do tych, którzy wygrywają konkurencję na rynku. Stąd tylko krok do uznania, że jest rzeczą oczywistą, istnienie jakiejś wyższej instancji, dbającej o to, żeby rozdział dóbr był "sprawiedliwy".

Więźniowie polityczni to ludzie o specyficznych predyspozycjach psychicznych i temperamencie. Fakt, że znaleźli się za kratami nie jest, rzecz by można, przypadkowy. Właśnie oni stanowią największe zagrożenie dla władzy a to dlatego, że preferują kolektywne metody walki, starając się zmobilizować możliwie większą ilość zwolenników, by na ich czele wyruszyć na bój ostatni. Preferowanie kolektywistycznej i nakierowanej na masę polityki czyni ich naturalnymi nosicielami socjalizmu. Głoszą oni zwykle hasła sprawiedliwości społecznej i równości, nie są zwolennikami wolnej konkurencji i ryzyka lecz raczej opieki i bezpieczeństwa /socjalnego/ dla siebie i innych, nie rozumieją roli pieniądza i własności, obca jest im etyka kontraktu, bardziej interesuje ich sprawiedliwy podział niż produkcja, handel, przedsiębiorczość. Dlatego przystosowują się łatwo do więziennego socjalizmu, który opisane wyżej własności ich myślenia wzmacnia i rozwija. Ale, rzecz jasna, więzienny socjalizm jest groźny dla każdego, komu przyjdzie czas jakiś spędzić w murach owej szczonej i dla naszego pożytku stworzonej instytucji. Jak się retować, jak się bronić, czy jest jakiś sposób, by uniknąć zsocjalizowania i zachować wolność?

Więzienie jest urządzeniem bardzo konserwatywnym, które posiadało niedyś swój własny, specyficzny etos, polegający na tym, że więzień miał w sa-



możności rozpamiętywać swoją winę. Chodziło o to, aby żył w stałej świadomości grzechu, który popełnił. Obecność innych rozpraszała jego uwagę, odciągała jego uwagę od spraw najważniejszych. Samotność miała być lekarstwem na chorobę duszy.

Dlatego w moim osobistym projekcie statusu więźnia politycznego naczelnym i jedynym postulatem byłoby prawo do pozostawania w samotności. Ryzykała ona dla więźnia politycznego szansą, by w sposób poważny i odpowiedzialny przyjrzeć się z tysiąc razy swej politycznej biografii, zanalizować błędy, poszukać własnej winy, zastanowić się nad drogą, która wiodła do więziennej celi. Tylko w samotności można przemyśleć wszystko raz jeszcze w najdrobniejszych szczegółach. Warunkiem jest porzucenie kolektywu, zapomnienie o "świętej" Sprawie Wolności. Tym, którzy to potrafią uda się być może przejść bez szwanku przez szkołę więziennego socjalizmu, zachować lub nawet odzyskać swe własne "ja", przemówić własnym głosem. Pozostali nie zaprzestaną wzywać innych, by wyrwali murów żelaz krat a jeśli to się uda zbudują nam świat na kształt więzienia.

Ryszard Kamornicki

W NOWYM ROKU  
"KOLIBER" SWYM CZYTELNIKOM  
ŻYCZY  
ZDROWIA, SZCZĘŚCIA  
I  
UDANYCH INTERESÓW

ruk na resztę kraju  
olna Drukarnia  
n. Adama Heydla  
WARSZAWA

Druk na Galicję i Śląsk:  
Niezależna Inicjatywa  
Wydawnicza - Wrocław